

Temstronamy

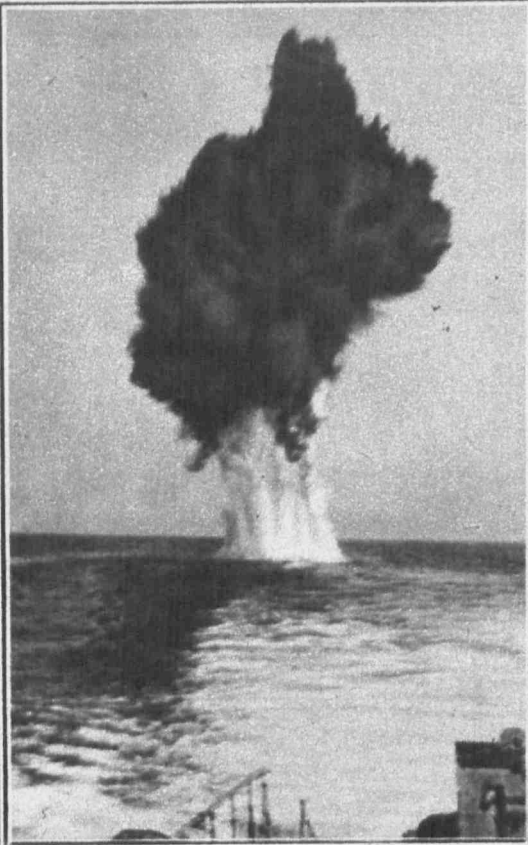
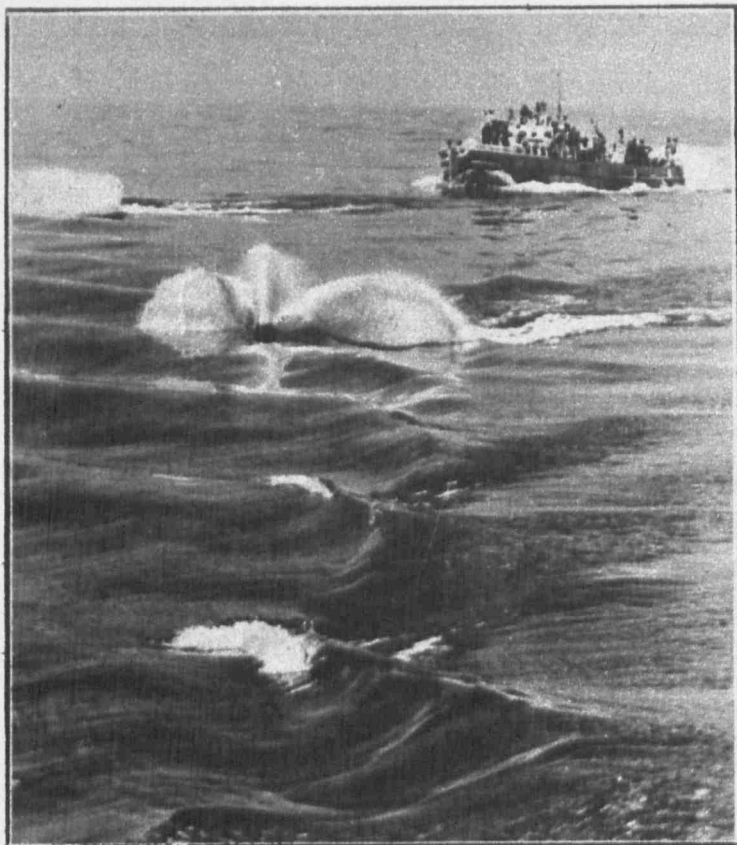
KURDOLSKI



**PREMIOWA
ZBIÓRKA METALI**

ODDANE ODPADKI PRZYNIESĄ KORZYŚĆ

Fot: Borek



POŁAWIACZE MIN OCZYSZCZAJĄ MORZE
 Powyżej: Niemieckie poławiacze min krążą bezustannie po morzach dokola wybrzeży Europy, by znaleźć i zniszczyć miny założone przez nieprzyjaciela. Poławiacze min są to małe, szybkie łodzie, które przeszukują wodę przy pomocy specjalnego przyrządu łak zwanej „wydra”. Na naszym zdjęciu (powyżej na lewo), widzimy charakterystyczne fale morskie, które tworzy prująca wodę „wydra”, ciągniona przez łódź. Jeżeli „wydra” natrafi na minę, powoduje jej eksplozję (zdjęcie powyżej na prawo) i oczyszcza w ten sposób drogi wodne.

NA LĄDZIE I NA MORZU

Poniżej:

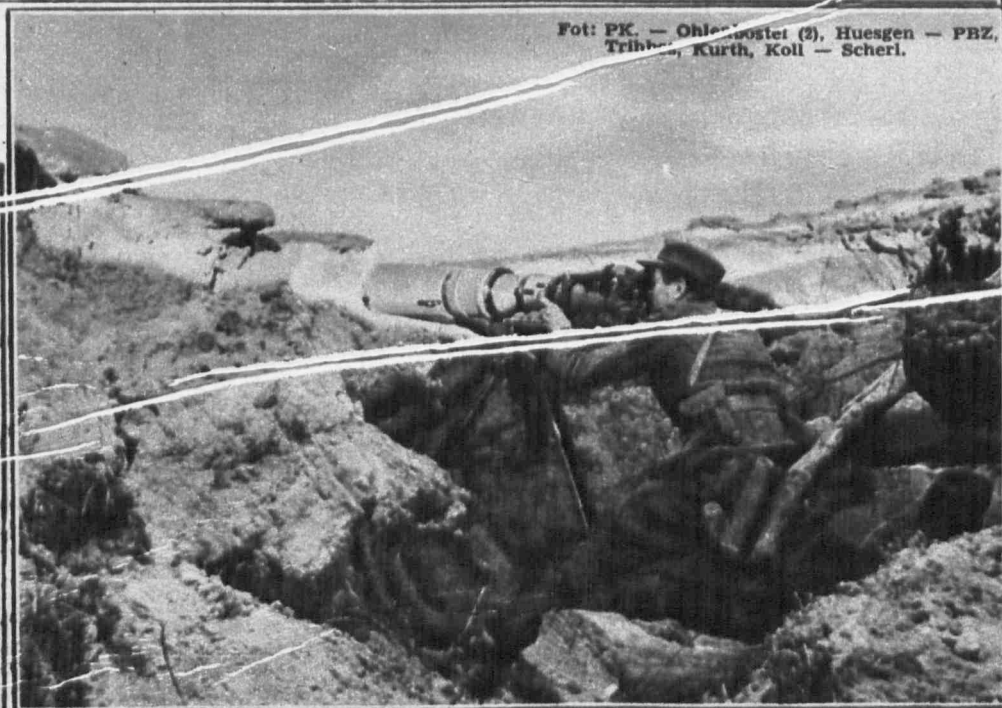
NA WYRZEŻU KANAŁU LA MANCHE

General-feldmarszałek Rommel zwiedza umocnienia wybrzeża kanału La Manche, w czasie swej podróży inspekcyjnej po Zachodniej Europie.



STRAŻ NAD MORZEM ŚRÓDZIEMNYM
 Powyżej: Żelazny pierścień umocnień opasał całą Europę. Nie tylko od strony wybrzeży zachodnich wybudowano silne umocnienia, ale i od południa nad brzegami Morza Śródziemnego budują Niemcy ustawicznie nowe umocnienia lub wzmacniają już istniejące. Na zdjęciu widzimy jak oddział piechoty ćwiczy obok olbrzymich zapór, które potrafią zatrzymać wszelki atak nieprzyjacielskiej broni pancernej.

Fot: PK. — Ohlenbörster (2), Huesgen — PBZ, Triebel, Kurth, Koll — Scherl.

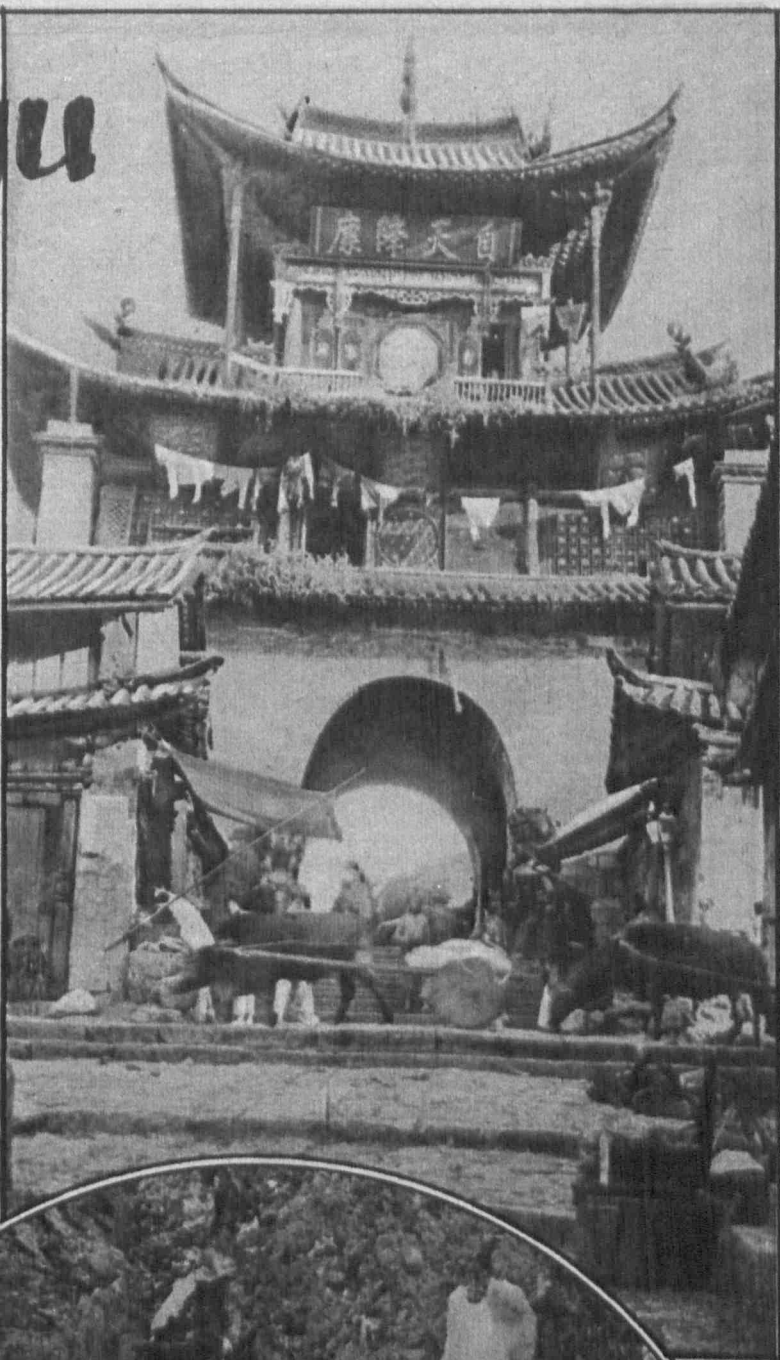


Z KAMERA NA FRONCIE
 Powyżej i na lewo: Niemiecki sprawozdawca wojenny fotografuje z rowów strzeleckich obstrzał pozycji sowieckich przez artylerię niemiecką. Nawet z odległości wielu kilometrów można przy pomocy dalmierza uwiecznić na kliszy wydarzenia wojenne.

Typy z Czungkingu



W ostatnich tygodniach zwiększyli Japończycy swój nacisk na Chiny Czung-kingu, i to zarówno od strony wybrzeży jak i od południowego-zachodu. Na skutek tego sytuacja wojsk Czangkaiszeka znacznie się pogorszyła, tym bardziej, że nie otrzymały one pomocy i odciążenia w postaci przyrzeczonego zaatakowania drogi Burmańskiej przez Anglo-Amerykanów. Produkcja przemysłowa i gospodarcza doznaje obecnie w Chinach zastój, tak że zrozumiałym się staje pesymizm, którym przeżone są nawet sprawozdania korespondentów amerykańskich w Czung-kingu.

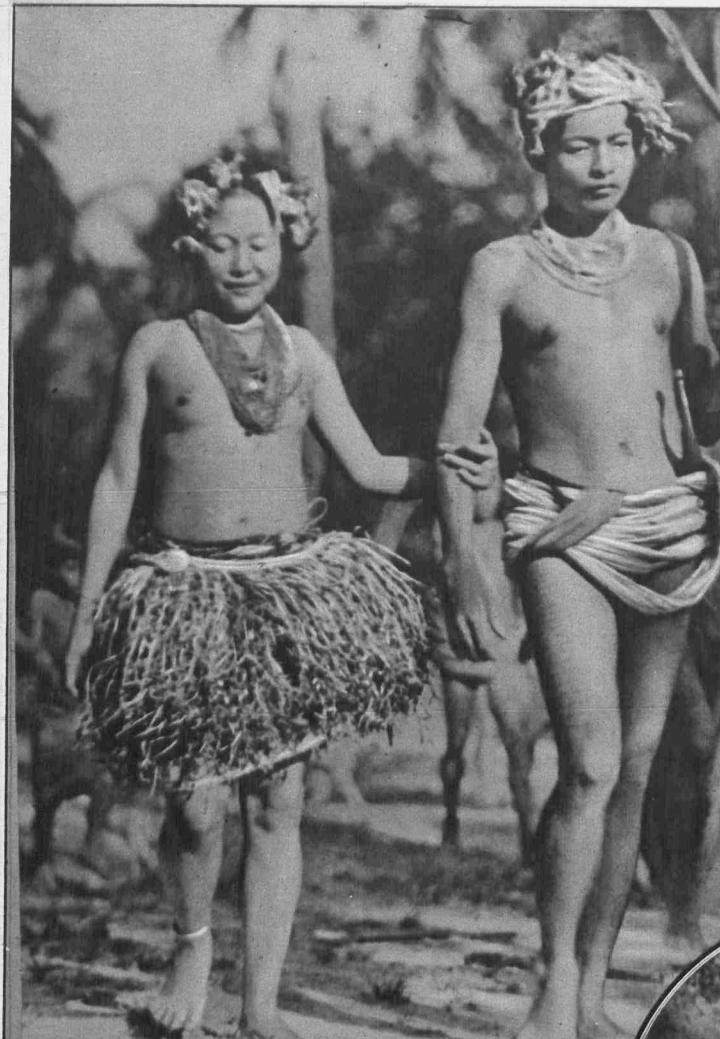


Nasze zdjęcia przedstawiają: typy ludowe z Czung-kingu; dżonki — łodzie na których znaczna część ludności Chin spędza całe swe życie; jedną ze starożytnych bram miasta oraz prymitywny sposób wydobywania surowca w jednej z kopalń cynku.



Fot: Eurofot 4.
Arch. IKP 1.





Na lewo:
NARADA „WOJENNA”
Kierownik ekspedycji w rozmowie ze swoim „tołumackim”,
lekarzem lubyków i trzema najstarszymi z plemienia.

Nie jeden z nas oglądając jakiś egzotyczny film zastanawiał się nad sposobem „robienia” tego rodzaju scen, powstających o autentyczności miejsca, akcji, a nawet aktorów. Względnie za kultury pewnej ekspedycji filmowej da nam możliwość poznania „na gorąco” powstawania filmu. Notatki moje są ściśle autentyczne.

Cała ta historia miała początek swój w Kopenhadze, gdzie czynnikiem przygotowania do ekspedycji na wyspy zwane Sunda. Nie byłam zdecydowany co do miejsca moich badań, gdy przypadek skierował mnie do mało znanej grupy wysp, daleko za Sumatrą. Spotkałem misjonarza znajomego, który opowie-

Na lewo:
TRZEBA SPROBOWAĆ SZCZĘŚCIA!
Ngenekan, egzotyczna piękność, choć została gwiazdą „Ubrana” odświętnie udaje się w towarzystwie swojego męża do kierownictwa ekspedycji filmowej.

Poniżej:
URODZIŁ SIĘ ARTYSTY
Jakkolwiek to zajęcie wykonują krajowcy nie po raz pierwszy i na rozkaz reżysera, ich miły, gra, maska nie mają w sobie nic sztuczności. Oni ze każdym razem przeżywają na nowo.

Poniżej w kółko:
W DRODZE DO „ATELIER”
Do zdjęć przybywa Ngenekan własnym pojazdem. Nie jest to naprawdę Mercedes ani Ford, ale jak na miejscowe stosunki wcale wystarczający środek lokomocji.



GWIAZDA

dział mi o grupie wysp Mentawai, gdzie żyją ludzie, którzy jeszcze nie wyszli w swoim rozwoju z epoki kamiennej. Dla moich celów było to w y m a r z e n i e wprost miejsce. Nic więc dziwnego, że wobec takich zalet wyspy Mentawai weszły w program mojej ekspedycji. Decyzję powziąłem w przeciągu kilku minut, osiągnięcie zaś celu miało trwać wiele miesięcy.

Właśnie kończyliśmy nasz lunch, nie pamiętam już który z rzędu od czasu wypłynięcia na morze, gdy ujrzałem na horyzoncie wyspę Sipora, największą ze wymienianych grup. Leżała wśród gęstej mgły, zarosnięta krzakami i dżunglą. Po zbada- niu głębokości morza Dekadze- nie na str. 16-jej



Fot. Witzleben i Palen

W kółko na lewo:
GWIAZDA W „KWIECIARNI”
Obfitość kwiatów porwała na chwilę zmienną ozdoby włosów bar uścisku dla kieszani.

Powyżej:
TUBYLIC — REŻYSEREM NA MIARĘ EUROPEJSKĄ
Czego nas uczy wieloletnia nieraz praktyka w jakimś zawodzie, tubylcy: wyczuwa instynktownie.

Poniżej:
„ARTYSTY” PRZYGOTOWUJĄ SIĘ DO ZDJĘĆ
Tu również mamy dowód wrodzonych zdolności lubyków. Naturalny sposób bycia i uległość rozkazom stwarzają z nich doskonały materiał aktorski.



MENTAWAI



FILMOWA

FLANDRYJSCY WYTWÓRCY DREWNIĄKÓW

Na prawo:
Z pni wiązowych, schnących koło chat w ciepłych promieniach słońca, jak to widzimy na rycinie, powstają w przyszłości setki drewniaków. „Trzewiczki” drewniane są noszone chętnie przez wieśniaków w Belgii, Holandii i Francji, przy pracach na roli.



Na prawo: Drzewo wiązów, z którego sporządza się drewniak, jest bardzo wytrzymałe i trudno ścierać się.

Powyżej:
Pocięte na mniejsze kawałki pnie wiązów, ociosuje się przy pomocy siekiery, aby w końcu nóż nadal kształt i osłabienie wykończono drewnianym pantofelkom.



Na lewo:
Ułożone w wysokie stosy, schną drewniak, ociosane z grubsza, pod ścianami chat, zanim całkowicie zostaną wykończone.

Powyżej:
Są dwa rodzaje drewniaków: proste, przeznaczone do codziennej pracy i drewniak odświętny, luksusowy. Te ostatnie polituruje się, lakieruje lub maluje w barwne wzory. Luksusowe drewniak nosi się przeważnie w mieście. W tym sklepie każdy znajdzie towar odpowiadający jego gustom.

Stare drewniak często używane bywają jako korytka dla królików, jak to widać na rycinie; trawa podana na takim „półnisku” bardzo zwierzęciu smakuje.



Powyżej:
Ojciec, matka, stryj, ciotka i dzieci — wszyscy noszą drewniak domowego wyrobu. Już od stuleci kwitnie we Flandrii wyrób drewniaków, bo chodzeniu w drewnianych „trzewiczkach” sprzyja szczególnie wilgotny klimat tego kraju.

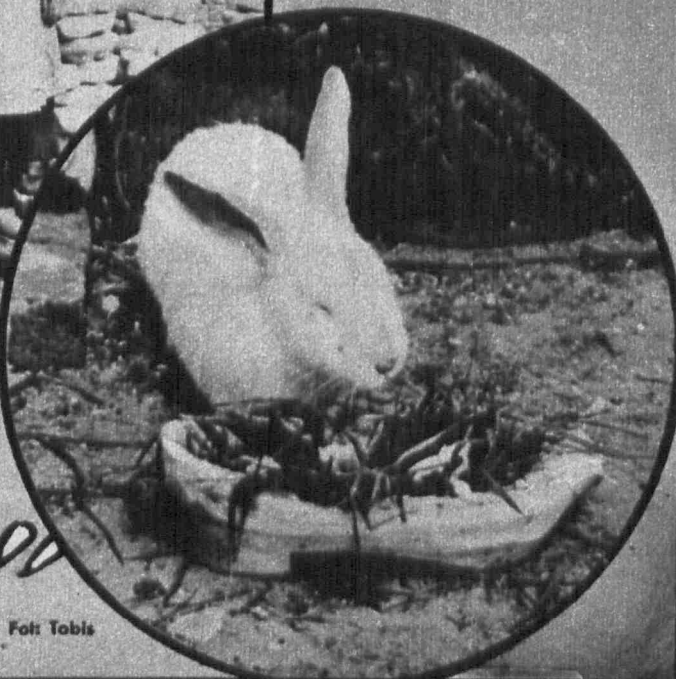


Foto Tabis

*Por
"pantoflem"*

Emilia nakarmiła syna i ostrożnie położyła do kołyski. Potem okryła sennie ciało chustą i ją poruszać nogą prymitywną drewnianą kołyskę, na bieżących. Małemu Jurkowi widocznie było tego za mało, bo mrucał i stękał; i dopiero na rzewną melodię matczynej kołysanki, nuconej półgłosem, zaciśnięte i podniesione male piąstki dziecka, zwolna opadły.

I pewnie już daleko, — w nieznanych światach dziecięcej fantazji, błdziła senna myśl, zrodzona w główce małego Jurka, gdy matka jeszcze nuciła:

Spij dziecko, śpij;
Małe oczka zmrucz,
W świecie bajek śnij;
Aż do białych zór!

Dzwoniąca i senna cisza, powoli znad kołyski, coraz dalej i dalej napelniała izbę, opanowując, zwolna i stopniowo, znużoną postać Emilii. Na odgłos krzyków za ścianą ocknęła się z sennej zadumy.

Podeszła do okna i długo wpatrywała się w zamrażające szyby. Słoneczne promienie, zapalając szafirowymi iskierkami zakłętą świat senniejszych kryształków malowały na szybach bajkowe wzory, precyzyjnej ornamentacji.

Drugi dzień śnieg padał, — bezustanku.

Nagle Emilie zapiekło w piersiach i mocno ukuło pod łopatką. Znowu pozostało w niej pokarmowe mleko. Bo chociaż synek pił wiele, jednak wszystkiego wyssać nie mógł.

Emilia postanowiła dzisiaj napisać list do starego ojca, bo nie może zapomnieć tego momentu, przed odjazdem, kiedy to ze łzami w oczach prosił, by często pisała. Jakoś trudno jej było zabrać się do tego. Chodziła więc po izbie i nerwowo szarpała kołce dużej, zarzuconej na plecy, chusty.

Nagle drgnęła. Za drewnianą ścianą baraku, z trzaskiem upadła na podłogę drabina. Zabrzęczało wiadro. Lokatorki-sąsiadki, nieomal wszystkie otrzymały urlop i wyjechały na święta, w rodzinne strony, a w ich baraku robiono remont.

Chlusnęła woda, miękko zaszeleściła, po ścianie, mokra szczotka i w jej takt podśpiewywał młody głos:

Dajcie mi w ręce gitarę!
Nalejcie czerwieni wino —
Pełną po brzegi czarę;

A potem już głośniejsze i weselej:

Przy mnie jest miła dziewczyna
Przy mnie jest jedna jedyna
Dla mnie uczyni ofiarę...

— Ot, głuptas — pomyślała gniewnie Emilia i silnie posunęła stółkiem po podłodze, jakby chciała tym przeraźliwym skrzypnięciem przerwać piosenkę.

Szczotka jednak szeleściła nadal, a malarz zaśpiewał nową piosenkę, bardziej skoczniejszą:

Malowane konie —
Malowany dół —
Malowane dziewczę —
Do hotelu wiozł...

Emilia usiadła na stołku i pogrzeżyła się w myślach. Nasunęła się wyraźna chmura wspomnień. Ona widzi jakby w półśnie: siebie idącą z Kazikiem drogą. Trzymają się za ręce. Dopiero co dali na zapowiedzi i wracają od księdza. Kazik coś mówi, jednak ona nie rozumie słów. Ogrom szczęścia przywalił jej całą istotą. Do jej świadomości dochodzą za ledwie ułamki tych miłych słów, które jeszcze bardziej potęgują bezmiar szczęścia czyniąc je nieprawdopodobnym. Ona bierze jego silną rękę i tuli mocno do piersi. Słowa nie może wymówić lecz on wszystko rozumie; bo zna jej duszę na wylot.

Od tych wspomnień zrobiło się ciepło na sercu.

Emilia spojrzała w koło po izbę. Po cóż ona tu żyje? Cudzał Nikomu niepotrzebna. A szczęście minęło — daleko. Drgnęła na samą myśl o tym. Boi się nawet myśleć.

Rozplakała się tak głośno i tak nagle, że nawet nie zdołała zrozumieć jak się to stało.

Za ścianą ucichł szelest szczotki. Z korytarza doszedł odgłos ostrożnych kroków. Emilia nie słyszała nic i zdziwiła się zobaczysz na progu wysoką postać, oblaną białą kretdą. Zabawnie rozlały się białe kropki po rumianym obliczu malarza. Czapka nasunięta na prawe ucho; spod niej zwisały ciemne włosy i częściowo zakrywały wesołą twarz.

Emilia otarła dłonią oczy i gniewnie zwróciła się do gościa. On milczał. Jego proporcjonalne usta, przywykłe do szczególnego uśmiechu, poruszyły się nagle i nie mogły znaleźć odpowiednich słów.

— Przepraszam, czy pani wzywała kogoś?

Miał miły i niski głos.

— Nikt pana nie wzywał! — gniewnie odpowiedziała Emilia. Poprawiła chustkę i odwróciła się, usiłując ukryć rozrzewanie. Przeszła pod okno i mocno oparła się o stół. Od silnego nacisku, pokarmowe mleko trysnęło na wszystkie strony. Od razu przestało piec. Z głęboką ulgą odetchnęła.

— Czegoż pan potrzebuje? Mów pan!

Nie odpowiedział nic, tylko z jakimś nieokreślonym żalem patrzył na mleczne kropki, rozlane białymi plamami po stole i podłodze.

— Mocno mi żal, że... — bąknął niewyraźnie.

Emilia podniosła oczy i nieco spokojniej odpowiedziała: — O co panu właściwie chodzi?

Z zachwytem spojrzał na jej zgrabną i rosnącą postać. Na duże warkoczki ułożone na głowie.

— Nie wiem jak to wyrazić... nie o mnie chodzi... Mam na myśli moje biedne dziecko... Jeśli pani go zobaczy, niewątpliwie będzie go pani żał...

— Cóż pan za głupstwa opowiada?

Malarz skierował się do wyjścia.

— Ciężko żyć biednej dziecinie — powiedział posępnie — głosem niższym.

— Czy nie donoszona, czy chora? Matki już od dwóch miesięcy nie ma. Została zabita podczas bombardowania fabryki. W mleczarni, gdzie pobieram mleko nie zawsze mogę otrzymać, a niejednokrotnie nie mam czasu przynieść, a tu widzę, jak mleko po podłodze się rozlewa.

Nagle przerwał rozmowę i wyszedł.

Za chwilę słychać było znowu szelest mokrej szczotki i nieco cichsze:

Matula usnęła,
Na kominku zgasio,
Dziewczę trzasło,
Aż łóżeczko buzi dało...

Emilia gniewnie zapukała w ścianę.

— Proszę nie śpiewać takich ordynarnych piosenek. Dziecko spać nie może! Licho by go porwało — dodała ciszej.



W korytarzu dały się znowu słyszeć kroki. Malarz otworzył drzwi.

— Pani coś mówiła do mnie?

— Tak, chciałam się czegoś więcej dowiedzieć o tym dziecku...

— Nie wiem, czy pani zechce słuchać!

Emilia uśmiechnęła się.

— Może.

Malarz oparł się o drzwi.

— Po cóż będę opowiadał, kiedy wiem, że pani nie tutaj, ani tu nie pracuje.

— Zgadł pan.

— Zdaje mi się, że pochodzi pani z kresów wschodnich. Poznałem po śpiewnej mowie. Zresztą sama postać mówi, że wyrosła pani na wolnym powietrzu, w stepach; i jakby z przedniego masła ulepiona.

— Wszyscy wy jednakowi mężczyźni! — odparła ona. — Mamicie pochlebstwami kobiety. Miałam zamiar po kilku



PRZEBACZI...

— *Moje „codzień” uśmiechało się w Twoich ustach,
wzrok mój — barwą Twoich oczu wyblękitniał,
życie nasze — przesłonecznie lśniła laska —
biegło cicho, jak ścieżyna międzyżytnią.*

— *Dzisiaj — ból Twój — — — (teraz wiem, że moja
wina —*

*i że leż mi Twoich życie nie wybaczy —)
w twarzy mojej smutne bruzdy porozpinał
i że wszystkich ludzkich oczu na mnie patrzy...*

*I krzyżuje mnie co chwilę Twoja młodość,
wpół przecięta lzy ciężarem niewymiernym — — —*

*A tak chciałem moje „codzień” olśnić Tobą
i na dom nasz Twój błękitny śmiech rozperlić...*

— *Przebac mi! I dotknij brzd na mojej twarzy — — —
dłońmi Twoimi niech me usta znów zakwitną!
— Pójdź — wróćmy w uśmiechnięte nasze „razem”!*

— *Czy pamiętasz naszą ścieżkę międzyżytnią?*

Bronisław Król



dniach powrócić do domu. Ale zostanę. Będę pracować tutaj. — I kto wie, czy nie lepiej będzie, jeśli pani zatrzyma się tutaj. Jest wojna, każdy pracować musi, a niewiedomo, gdzie lepiej i bezpieczniej. — W słowach Józka dzwignął życzliwy ton.

— Nie miałam zamiaru tu zostawać i pracować... Inny był cel mego podróży.

— Do męża pewnie pani przyjechała?

— Tak. Do męża.

— A czemuż płacze pani? Czy mąż niedobry?

W tonie słów malarza nie była zwykła ciekawość, lecz dzwignęła w nim serdeczna i przyjacielska życzliwość.

— Nie był on jeszcze moim mężem... — mimo woli powiedziała Emilia. Inną miał, a mnie okłamywał stale. Poznałam to szybko, gdy wyjechał tutaj na roboty. Mało pisał. Nie chciał bym z nim razem jechać. Wiedziałam, że mieszka z inną. Znaliśmy pisali mi o tym. W lecie przyjeżdżał do mnie na urlop. Przysięgał, że mnie kocha i nigdy kochać nie przestanie. Wierzyłam. Ale gdy syn się urodził, a on pisał, że zostanie przeniesiony na inne miejsce i prawdopodobnie do mnie już nigdy nie powróci; postanowiłam wyjechać do niego. Kilkakrotnie zamierzałam to uczynić, lecz on stale odrażał, tłumacząc moim złym stanem zdrowia.

Malarz słuchał ze spuszczoną głową.

— I po cóż było tutaj jechać?

Emilia pomyślała chwilę i potem ciszej opowiadała dalej: — Widzi pan, to już tak jakoś jest... Wierzyłam, sądząc, że naprawdę on nie ma możliwości przyjazdu do mnie. Nie wiedziałam, że w listach było więcej kłamstwa niż prawdy. Emilia rozplakała się rzewnie.

— Proszę sobie pomyśleć! Przyjeżdżam i zastaję go z inną. Pytam co to za jedna? Odpowiada: — to jest moja żona. Ślub wzięliśmy tutaj przed miesiącem. I dziś wyjeżdżamy oboje, przeniesieni na inne miejsce pracy. Pytam: — po cóż mnie okłamywał? Czemuś mi przedtem o tym nie napisał?

— Nie chciałem cię trwożyć, byłaś w odmiennym stanie, a teraz skoro dziecko przyszło na świat, więc mogę ci wszystko wyjaśnić.

Malarz uśmiechnął się i z szyderstwem wycodził przez zęby:

— Widocznie bardzo współczująca osoba...

Emilii zrobiło się jakoś źle na sercu; mimo że całkiem obcoemu opowiadała o wszystkim. I wpatrując się w oblicze Józka, w którym wyraźnie rysowało się zakłopotanie, współczucie i troska, powiedziała z sercem:

— Cóż pan za jeden, żeś taki ciekawy?

— Łudząco jestem do mej matki podobny — odpowiedział z uśmiechem malarz. — Ale kolo mnie jest jeszcze inna sprawa. Troska o dziecko, o moją małą sierotkę... Chciałbym panią do siebie poprosić. Tej dziecinie pomóc trzeba, i to zaraz, koniecznie, gdyż wędnie bez matki, z każdym dniem coraz bardziej. Dziecko chude, piszczki tylko jak komar, bo nawet krzyknąć nie może. Serce moje z żalu pęka...

— Daleko pan mieszka? Chciałabym je zobaczyć.

Ukradkiem spojrzął malarz w kołyskę, gdzie spał synek Emilii, Jurek.

Na jego ustach malował się miły i betroski uśmiech. Uśmiech dziecka.

— Tu samo zdrowie. Ten jak krzyknie, to aż mi z rąk szczotka wylatuje...

Zwrócił się do Emilii:

— Więc pani przyjdzie popatrzeć na moje dziecko?

— Tak, chcę zobaczyć.

— Pięknie, więc pójdziemy... ale kiedy?

— Niech pan skończy robotę, ja tymczasem przygotuję się. — Doskonale. Musimy się jednak nieco spieszyć, gdyż jeszcze mam wieczorny kurs...

— Jaki kurs?

— Otrzymałem zezwolenie od mego szefa i uczęszczam na kurs szoferski. Postanowiłem, po powrocie do domu, zostać szoferem i chcę po wojnie pracować w mieście. Wieś mi już obrzydła.

Emilia zważo wzięła się do sprzątania izby i w kilka minut była gotowa do wyjścia. Malarz tymczasem dokończył bieleńia korytarza.

Od chwili przyjazdu Emilia mieszkała w baraku swej koleżanki, która teraz pracowała w szpitalu wojskowym.

Malarz wstąpił po Emilie.

Jurek tymczasem się obudził i Emilia wzięła go ze sobą.

Małe łóżeczko stało koło okna. Obok na kanapce, siedząc drzemała stara babusia. Zobaczywszy Józka skinęła głową, zaś na Emilie spojrzała podejrzliwie.

— No, jak się czuje Julianka? — spytał Józek i zerknął w kołyskę; skąd dało się słyszeć cieniutkie i bardzo żałosne kwilenie. Babunia milcząco zdjęła z dziecka pieluchę.

Emilia zobaczyła niebieskawę, wychudłe rączkę, pożałowania godny tyłek i małeńkie jak guzik usteczka, co ledwie się poruszały.

Całe matczyne jestestwo Emilii, rwało się do tych schorzałych i osłabionych oczu, zgłodniałych i wypatrujących prawdziwych matczynych piersi. Nakarmić mizerną i osieroczoną ptaszynę, mleczkiem napoić...

— Karmię z flaszki — wyjaśniła babunia — z mleczarni otrzymuję mleko i przegotowuję na owsianym odwarze. Byłam nawet z Julianką u lekarza, ale on powiedział, że koniecznie trzeba ją przenieść na matczyne mleko, gdyż w przeciwnym razie może nastąpić niedorozwój, a nawet śmierć. Ale gdzież tu wziąć matczyne mleko?

Emilia nie wiedziała, co czynić.

— A może ta dziewczynka chora? — pomyślała. — A może to karmienie odbija się na zdrowiu Jurka?

Malarz przyszedł jej z pomocą.

— Widzę, że obydwie źle jakoś podchodzicie do siebie; za mało się jeszcze znacie. Ale sądzę, że możemy pójść do naszego lekarza — powiedział Józek z całą serdecznością.

— Pójdziemy nawet zaraz! Nie gniewajcie się. Jutro Julianka będzie miała dużo mleka — dodała Emilia i — pozdrowiwszy ukłonem babunię — wyszła.

Weszli do dużego budynku szpitala dziecięcego. Malarz podprowadził Emilie do drzwi poczekalni i podając rękę na pożegnanie dodał:

— Pani tutaj poczeka na lekarza, ja zaś spieszę na kurs.

Emilia usiadła w poczekalni. Za chwilę weszła babunia z Julianką.

Emilię znowu ukuło pod łopatką, mdliło i piekło w nabrzmiałych piersiach.

Z pokoju do poczekalni weszła siostra szpitalna i poprosiła Emilie do gabinetu lekarza. Po chwili weszła babusia z Julianką. Wszystkie analizy i przeglądy stwierdziły, że Julianka jest zdrowa, tylko brak matczynego mleka spowodował niedorozwój organizmu. Co się tyczy badań Emilii, to w całości zostały potwierdzone przypuszczenia malarza; Emilia była przykładnym wzorem zdrowej kobiety-matki.

— Cieszymy się, ilekroć widzimy serdeczną pomoc wśród robotników dotkniętych bombardowaniem — powiedziała siostra. — Tego rodzaju sprawy są bardzo ważne dzisiaj, kiedy tyle jest niemowląt osieroconych.

— Jakby to było dobrze — pomyślała Emilia — gdyby tak zaraz po wojnie zaprowadzić u nas dokarmianie osieroconych niemowląt. Ileż to razy w pokojowych czasach; u jednej było mleka za dużo, u drugiej za mało, a nawet przez myśl nikomu nie przeszło, dzielić się mlekiem. Ileż to dobrodziejstw uczyniłoby się w ten sposób! Nie byłoby tylu niedorozwiniętych dzieci.

Mijały dni — jeden za drugim. Przy nauczaniu, wychowaniu oraz czuwaniu nad synem, schodził Emilii szybko czas, nie zostawiając nawet chwilkę na smutek. Codziennie karmiła swą piersią Jurka i Juliankę. Jeśli sama miała więcej czasu, wteby biegła do baraku malarza, niekiedy babusia przynosiła Juliankę do niej.

Aż pewnego dnia przybiegł Józek. Opowiedział o nadzwyczajnej poprawie zdrowia u Julianki; coś nie coś o sobie; o kursach i mimo woli serdecznie zapytał:

— Jak u pani z pieniędzmi? Mogę pani finansowo pomóc a nawet poszukać tutaj odpowiedniego zajęcia dla pani.

Emilia uśmiechnęła się:

— Najserdeczniej dziękuję za dobre słowa. Mam jeszcze nieco gotówki, którą przywiozłam ze sobą. Zresztą, nie na roboty ja tu przyjechałam...

Mijały dni, tygodnie, miesiące... Zbliżała się wiosna. Tęsknota i smutek, ogarniały wieczorem dobre matczyne serce Emilii, kiedy wszyscy w baraku posnęli ciężkim snem, a ona sama siedziała pochylona nad śpiącym synem. Ona myślała o powrocie do rodzinnego domu, do starego ojca. Rozumiała, że trzeba ojcu pomóc w wiosennej pracy na polu. Przecież pozostał sam. I tak wpatrzona w mrok baraku, zagubiona w tęsknych myślach, ujawiła sobie swoją chatkę rodzinną koło rzeczki, otoczoną owocowym sadem. Opuściła Emilia płakała cicho, a kropeliste łzy, strugą spływały po twarzy, zostawiając słony posmak na ustach...

Otarła łzy, a tak bardzo trudno było jej oderwać myśli od rodzinnej chatki.

— Pusta i zmuszała, pochylona ze starości, powita zażwionymi szybkami mnie — swoją gospodynię. W tej chatce przyjdzie mi spędzić smutne życie, wychowywać jedyne Jurka i zmagać się z biedą.

Emilia z dnia na dzień odkładała odjazd. Ciężko było wracać do ojca, z bolesną wieścią, że naręczony jej już żonaty. Wiedziała, że dla starego ojca będzie to śmiertelnym ciosem, że jego jedynej córce los okazał się tak przeogromnie okrutnym.

Emilia szczególnie czuła się osamotnioną, od kiedy przestała karmić Juliankę. Józek również tylko niekiedy przychodził. Odkładała odjazd, bojąc się rozstać z szumem fabryki, który rozganiał jej smutne myśli.

Aż pewnego dnia pomyślała, że może lepiej by było, gdyby wracając do domu, zastała ojca w grobie. Może by tym samym oszczędziła mu przed zgonem tej bolesnej i gorzkiej wieści. Ale kiedy pomyślała rozważnie o tym, przelekniona tą myślą, modliła się szczerze i gorąco do Boga, prosząc o przebaczenie.

Józka od kilku dni nie było w baraku, ani też nigdzie go nie widziała. Aż pewnego dnia przyszedł nagle, w momencie, w którym najmniej się go spodziewała.

— No, jak, żyjesz? — zapytał wesoło. Ale w beztróskim uśmiechu Józka coś bolesnego uderzyło Emilię.

— Jadę do domu! — odpowiedziała krótko.

— Kiedy?

Nagle postawione pytanie zmusiło ją do krótkiego namysłu.

— Jutro idę po bilet kolejowy!

— Słyszałem i wiem dokładnie, że otrzymałaś już wszystkie papiery na wyjazd, że nieodwołalnie jedziesz. Przy tej okazji mam do ciebie jedną małą prośbę. Jeśli będziesz brała bilet, weź jeszcze jeden.

I zetknawszy się z jej zdziwionym wzrokiem, dodał wyjaśniając:

— Jeszcze jedna dziewczyna, z twoich stron pojedzie z tobą. Będziesz miała towarzyszkę i w podróży będzie wam weselej.

— Cóż to za jedna?

— Jedną wiejską dziewczynę, moją znajomą, zwolnioną z pracy. Zresztą bardzo miła dziewczynka. — Józek uśmiechnął się. Emilii nagle zrobiło się przykro na myśl rozstania z nim. Przyzwyczaiła się do niego i czuła niezaprzeczony sentyment. Ale ona ukryła ból i odpowiedziała spokojnie:

— Cóż, wezmę! Będzie weselej jechać.

Józek wstał. Jakoś dziwnie spojrzał na stroskaną Emilię i jakby zamierzał coś bardzo ważnego powiedzieć. Ale wyprostował się, podniósł głowę do góry, spojrzał Emilii w oczy, potem chwycił czapkę, uklonił się i milcząc wyszedł z baraku.

— Nie pożegnał się nawet — pomyślała Emilia — grubianin!

Raz jeszcze zobaczyła Józka kiedy oddawała mu bilet. Z bólem pomyślała o tym, że więcej już nie zobaczy Julianki. Dziewczynka ta stała się dla niej bardzo bliską i drogą.

Przed tygodniem spotkała Emilia babusię z Julianką, a zobaczywszy jej odżywną i pełną rumieńców twarzyczkę i rozjaśnione oczy, odczuła jakąś nieokreśloną dumę i zadowolenie. W tym cudownym odrodzeniu dziecka była i jej część.

W dzień odjazdu, Emilia daremnie oczekiwała towarzyszeki podróży. Nikt nie przyszedł. W poczekalni zauważyła Józka, jak bardzo zakłopotany kupował bułki i cukierki w bufecie.

Z koszyka, który wisiał na jego ręce, wystawała flaszką z mlekiem.

— Zaraz, zaraz — skinął na Emilię — wszystko opowiem...

— Gdzież ona?

— Zaraz przyjdzie.

Józek pomógł Emilii wejść do wagonu i znalazłszy dla niej miejsce w przedziale, wyszedł. Po chwili zjawił się ponownie, niosąc na rękach spowite dziecko. Wszedł do wagonu i usiadł naprzeciw. Był bardzo zmieszany i blady. Milcząc zdjął zasłone z twarzyczki dziecka.

— Julianka! — krzyknęła zdziwiona Emilia.

— Oto jest ta wiejska dziewczynka, która pojedzie w twoje strony!

— Cóż to znaczy, niczego nie rozumiem!?

— Otóż — jakając się rozpoczął Józek — sam nawet nie wiem, skąd takie myśli przyszły mi do głowy. Kiedy dowiedziałem się, że starasz się o wyjazd do domu, zrozumiałem, że w tobie odjedzie matka mej Julianki. Udałem się z tą sprawą do mego pracodawcy, prosząc by i mnie zwolnił, gdyż już trzeci rok u niego uczciwie pracuję. Dodalem, że wraz z tobą odjeżdża połowa mego serca. Pokochałem twoje dobre matczyne serce. On zrozumiał moje łzy, które po raz pierwszy od wielu lat zjawily się w oczach. Zrozumiał moją tęsknotę za rodzinnymi stronami. Zgodził się. Postarał się nawet o wszystkie papiery na wyjazd. I dziś jadę wraz z tobą. Do ciebie. Do twego domu.

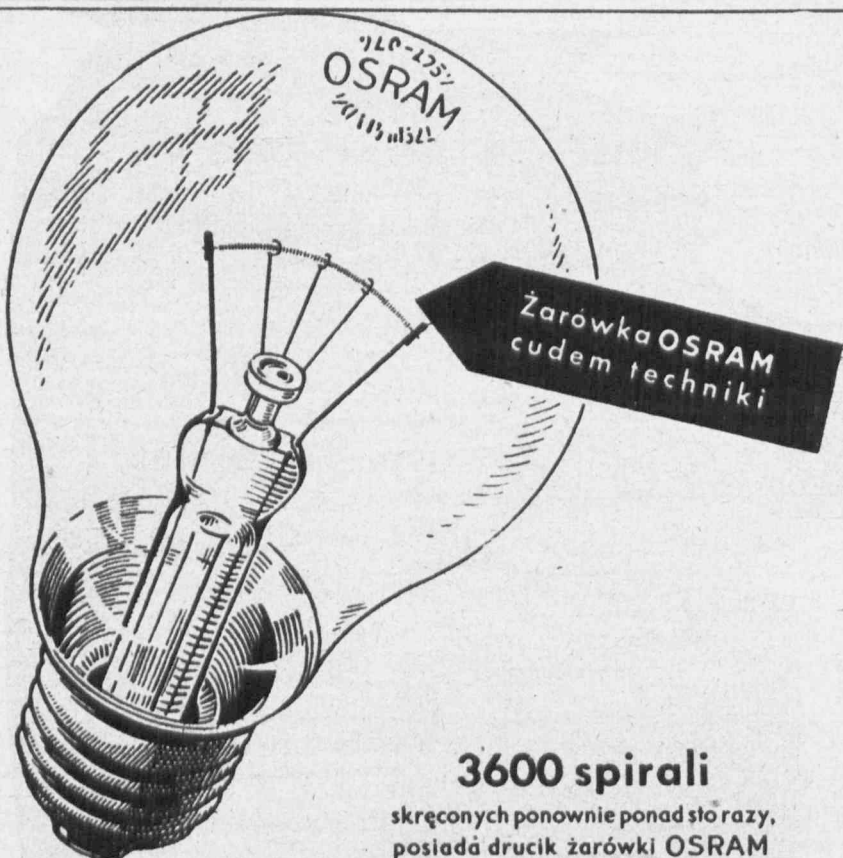
Spuścił oczy. A Emilia chciała nagle krzyknąć, tak dużo wpłynęło radości do jej stroskanego serca, które teraz było silnymi uderzeniami.

Ulubiona, zaciszna chatka, nad brzegiem rzeczki, radośnie błyszczała wymytymi szybkami, na powitanie czworga nowych gości.

W słoneczny czerwcowy dzień, w ukwieconym zieleniu i białą brzoź, wiejskim kościółku, staruszek ksiądz wiał stulą, spracowane ręce Emilii i Józka.

Wśród licznych świadków tej skromnej lecz bezbrzeżnie szczęśliwej uroczystości, błyszczały dwie pary rozradowanych oczu dziecięcych: Jurka i Julianki.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Poczłowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



3600 spirali

skręconych ponownie ponad sto razy, posiada drucik żarówki OSRAM o podwójnej skrętce. Ten doskonały twór zapewnia konsumentowi maksymalne wykorzystanie światła.

» OSRAM « oszczędza również prąd.

Osiągnięte
WYNIKI
gwarantują za:

OSRAM

dużo światła — mało prądu.



Przypuśćmy że...

podczas zmywania zbiło się jedno z naczyń i rozciąłszy sobie przy tym palec. Jak to najlepiej opatrzyć?

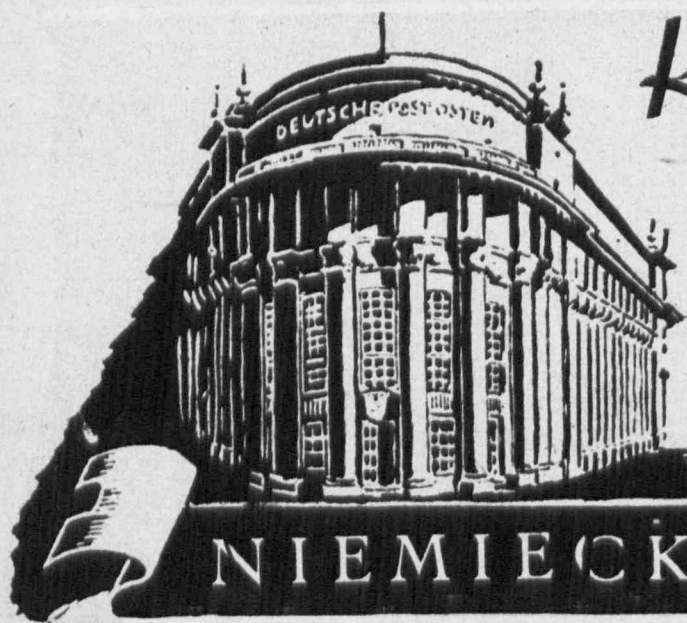
Czy może tak?

A może lepiej Hansaplastem elastycznym?

Lepiej wziąć Hansaplast. Ten praktyczny opatrunek doraźny tamuje krwawienie i działa odkażająco. Znosi także z powodzeniem chwilowe zmoczenie.



Hansaplast-elastyczny



Korzystaj

Z OBROTU CZEKOWEGO

I OSZCZĘDNOŚCIOWEGO

NIEMIECKIEJ POCZTY W SCHODU



JANIK ZDZISKA

Z wystawionym pyskiem na zewnątrz psiej budy, leżał wielki i kudłaty uważnie spode łba spoglądając ponurymi oczyma na wszystko, co się działo na podwórzu. Taki sobie był — kundel, przewany pogardliwie Burem.

Oczy miał bure i kudły tego samego koloru, a zawsze brudne, pełne plew i miejscami skołtunione. Ceniono jednak w nim złość nieobliczalną, bowiem wybuchał łatwo na widok nieznanego człowieka. Dla tych, których znał — był obojętny. Ogólnie mówiono, że jest brzydalem i nie obdarzano go sympatią. Instynktem odczuwał brak życzliwości. Czy bolał nad tym? Niewiadomo. Czuł po psiemu: nienawidził, warczał, gryzł i nie patrzył nigdy wprost na człowieka, a biegł chyłkiem, jakby nie chciał, żeby go widziano. Kucharkę, która mu jeść przynosiła do budy — zaledwie tolerował z niewymowną pogardą przyjmując od niej pożywienie. Nie od razu też zabierał się do niego, jak to czynił brat Cygan i zarazem sąsiad najbliższy, lecz wprzód powąchał: oddalał się zaraz, po chwili dopiero ociągając się zbliżał się do miski i zagłębiał swój długi, czarny pysk w ciepłej zupie.

— Patrzcie, no — wydziwiała kucharka — jaki to ma pe- arakter do jedzenia!

Cygan był zły i głupi, ale Bury choć również zły ocale niebo mądrzejszy był od brata. Czujny i mądry, w charakterze swym przejawiał wyraźnie logikę i celowość czynu.

Taki już był zrównoważony od małego. Kiedy Cygan rzucił się wiecznie w paroksyzmy wściekłości bezsensownej przy budzie, na widok lada kury lub gęsi, Bury z doskonałą obojętnością obserwował życie podwórza, wykorzystując sprytnie każdą nadarzającą się sposobność zdobywania, sobie pożywienia. W lecie młode, głupie kaczki padały zwykle jego ofiarą. Codziennie przed wieczorem ciągnął długim korowodem od sadzawki na podwórzu, niewiadomo czego tuż koło budy Burego. Zawsze ostatnia była jego łupem, który ukradkiem pożerał w budzie. Tymczasem Cygan swą hałaśliwością budził podejrzenia, ponosząc karę za niepopelnioną winę.

Życie Burego płynęłoby nadal swym wąskim korytem, gdyby na padół jego nędznego życia, nie zesłało bóstwo. Stało się to tak niespodziewanie, że nim się Bury spostrzegł, już był we władzy, którą uznał nad sobą bez sprzeciwu.

Kiedy w porze zimowej, o pewnym czasie przed psią budą pojawiło się bóstwo, całe jasne, wydzielające z siebie fluidy dziwnego ciepła — mile psiemu sercu, Buremu głos zamarał w krtani i siedział jak urzeczony. Nie ruszając się z miejsca, patrzył po raz pierwszy wprost na człowieka.

— O, wcale nie taki brzydki... — zadzwieczał mile głos bóstwa — tylko taki bardzo biedny...

Nikt nie ogrzał samotnego psiego serca uczuciem przyjaźni...

— O, wolę ciebie od tych rozpieszczonych, przerasowanych pokojowców. Powiadam ci, przyjacielu, co to za niedolegi! Dławią się po prostu swą historią, a żaden nie potrafi mi towarzyszyć na spacerze. Przypadłeś mi od razu do serca, boś opuszczony, a zdziwiałe twe serce na pewno pragnie życzliwości. Będziesz mi teraz towarzyszyć.

Ręka w wełnianej rękawiczce ruchem śmiałym i energicznym odpięła pasek z łańcucha i... Bury był wolny.

Stał teraz nieśmiało, jakby, nie wiedząc co ma z sobą zrobić.

— Bury, przyjacielu, pójdziemy... — powiedziało bóstwo, i z nartami na ramieniu ruszyło naprzód.

Bury stał chwilę i patrzył w ślad... Wreszcie powoli ze spuszczonego ogona poszedł, trzymając się trochę z dala.

BURY

Dopiero za ogrodem zrównali się, a nawet Bury pobiegł nieco naprzód; wążąc tu i tam z podniesioną już wysoko kitą ogona.

— Wcale, wcale jesteś przystojny — mówiło bóstwo — co za pierś wypukła i mocna, jaki wspaniały ogon, kto by pomyślał! Co za przemiana, powiedziałabym, że nie pozabawiony jesteś rasy.

Na dźwięk tego głosu, Bury machał teraz ogonem, lecz trzymał się jeszcze z dala. Po trosze nieufność ustępowała radosnemu poczuciu, że jest wybranym. W zatwardziałym sercu czaiła się niedaleka już wdzięczność...

Kiedy Danusia, cała jasna w blasku słonecznym zsuwała się na nartach po puszystym śniegu z niewielkiego wzgórza, Bury, szczekając, biegł za nią w podskokach. I tak pędził razem pełni radości i zapomnienia o świecie całym. Zatrzymali się w końcu wśród śnieżnej płaszczyzny syci powietrza i zmęczenia. Bury z wywieszonym językiem rozbawiony kręcił się koło nart, machając prędko ogonem, na znak wielkiego zadowolenia. W jego iskrzących się radością oczach widać było chęć powtórzenia zabawy, lecz Danusia błada, oparłszy się o kij, oddychała z trudem.

Odtąd stale w dni pogodne chodzili na wzgórze pod lasem i tam wśród wesołych okrzyków i szczekania spędzali czas przyjemnie.

Kiedyś, o zmierzchu pełnym ciszy w powietrzu i różowych odbłasków na niebie, wracali ze spaceru. Bury stąpał przy nodze Danusi poważnie, godnie, z podniesioną wysoko kitą ogona, od czasu do czasu dotykając lekko nosem granatowych spodenek dziewczynki. Ku radości jego serca bóstwo często na spacerach przemawiało do niego swym słabym, lecz czystym jak kryształ głosem. Był więc powiernikiem, towarzyszem i przyjacielem.

— Widzę przyjacielu — mówiła Danusia — że spacer ci służy, odżyłeś i wypiękniałeś. Ale mnie — nic już nie pomoże... W Zakopanem powiedzieli, że mam chore płuca, więc jeszcze kilka miesięcy, rok i skończy się wszystko dla mnie... Pozwolono mi jeździć na nartach, bo wtedy się głębiej oddycha, a to jest podobno ważne dla płuc... Widzisz Bury piesku, przyznam ci się, że ja nadużywam trochę tej jazdy, ale ja i tak długo żyć nie będę, więc nim nadejdzie czarna noc śmierci — użyję trochę... A mnie wtedy zdaje się, że jestem zdrowa, pełna sił...

Bury strzygł uszami i spoglądał w górę ku białej czapce. Ten jedyny głos na ziemi ukoił jego obolałe serce i stłumił złość, potęgając z każdą chwilą radość życia nieznaną mu dotąd.

Wreszcie Bury wymyty i wyczesany, wpuszczany został na pokoje. Służba wrzuciła ramionami, domownicy krzywili się, gdy po raz pierwszy pojawił się wielki i niezgrabny na lśnących posadzkach. Cała sfera pokojowców, nerwowo doberman, rozdygotane ratlerki i złośliwe jamniki na jego widok uczyniły taki wrzask, że długo musiano uspokajać rozigrane nerwy ulubieńców. Bury ledwo spojrzał na nich. Był nieodstępnym cieniem bóstwa i poza nim nie miał żadnych zainteresowań. Jego psie ubogie w uczucia serce zbudziło się i zakwitło jak kwiat miłością bez granic i silną jak sama śmierć. Najczęściej przebywał w pokoju Danusi, gdzie leżał zwinięty na dywanie, pogrążony w dziwnym błogostanie, który na pewno, gdyby umiał mówić, nazwałby — szczęściem.

— Nudziły się oboje — mówiło bóstwo pewnego dnia siadając na dywanie przy Burem i zagłębiając rękę w puszystych kudłach — wiosna już, nie ma śniegu, nie ma naszej cudownej jazdy Bury, co my właściwie będziemy teraz robić? Wiesz piesku, taka jestem bardzo samotna. Mama opuściła ojca i wyszła zamąż, a ojciec też się ożenił z inną... A ja, ni tu ni tam, wszędzie jak intruz. Dobrze więc, że jesteś ty... Wiesz przyjacielu, powiem ci na ucho, ale tak cichutko, że ja mam teraz stałe gorączkę, ale nikt o tym nie wie. — Bury mój drogi, ja się tak boję śmierci, bo wtedy pewno ogarnia człowieka taka czarna beznadziejna noc... — Bury patrzył w biedne podkrążone oczy i lizał ciepłym językiem drżące z chłodu ręce.

— Bury, wiesz, ja mam tylko szesnaście lat... To jest za

mało, żeby umierać, a za dużo, żeby móc wiedzieć o nędzy życia. Nie było kochania, bo do tego szczęścia mają prawo tylko zdrowi, choć nie zawsze je doceniają. O, Bury! nie było w moim życiu nic godnego uwagi — przejdę cicho jak marny cień bez śladu w czyimkolwiek sercu.

Przyszły smutne dni. Od dłuższego czasu Danusia nie podnosiła się z łóżka. Bury siedział przy łóżku i najczęściej trzymając łeb na kółdrze, trwał tak całymi godzinami, jakby w jakimś późnie dziwnym, niespokojnym. Nie zwracał uwagi na ludzi, którzy przychodzili do pokoju, dużo mówili i odchodzili.

Kiedyś w porze przedwieczornej, gdy z otwartych okien szły lekkie poduchy pachnące świeżą ziemią, pełne cichego rozgwaru kończącego się dnia, odezwał się słaby, przerywany głos bóstwa:

— Jesteś tam?

Bury drgnął i wtulił swój śpiczasty czarny pysk w małą dłoń.

— A jesteś... dobrze, wiesz przyjacielu... taka jestem zmęczona... ten młody ksiądz przy spowiedzi powiedział mi, że Bóg jest... i to musi być prawda, bo czemuś byłby ten świat... tak mi to weszło w duszę... Bury, chciałabym wiedzieć, czy twoja dusza też czuje Boga. Ach, jak mi trudno mówić... niewymownie cierpię... ale to nic, byle śmierć nie była ciemną nocą, byle umrzeć z nadzieją...

Tej nocy wygnano Burego na podwórzu. Nieswój jakiś i smutny poszedł na swe dawne miejsce koło budy. Naraz z podniesionego do góry pyska wybiegły dźwięki żałosne, które pospolicie ludzie nazywają wyciem, lecz była to raczej pieśń pełna skargi i bólu życia.

— A bodajesz zdechł przekleśniku jakiś! — zaklął stróż nocny i kijem mocno go zdzielił. Bury stęknął i wleźł zaraz do budy zakopując się w słomę.

Nazajutrz, Bury zastał drzwi do pokoju Danusi zamknięte. Drapał drzwi, skompał, aż wygnano go znów na podwórzu. Przez cały dzień potem biegał koło domu zdziwiony, niespokojny, aż wreszcie poczył się wspinać do okien, obwąchiwać — na nic wszystko.

Z niewiadomej przyczyny zamknięto mu dostęp do bóstwa. Pies szalał z niepokoju, aż wreszcie wyczelak odpowiednią chwilę wpadł do kuchni, a stamtąd chyłkiem do pokoju. Teraz już drzwi były otwarte. Zrazu ujrzał białą postać leżącą na łóżku, lecz jakby obcą dla niego. Zwolna posunął się do łóżka i poczył je obwąchiwać. Nagle cofnął się do drzwi i przysiadłszy na tylnych łapach cicho i żałośliwie zawył. Przegano go zaraz z domu. Ale on nie napierał się więcej.

Poszedł przed siebie.

Po drodze minął psią budę, skąd odprowadziły go ciekawie żółte oczy Cygana. Nie zwracając na nie uwagi pędem przebiegł podwórzu i wypadł na pole.

Przez dwa dni widziano go jak biegał brudami polnymi z podwinętym ogonem i zapadniętymi bokami. Mówiono nawet, że może się wściekł, że może trzeba zrobić obławę i zabić go. Dziw, że nikt go jakoś nie tknął.

Bury chudy, obłocony, z pozieplanymi kudłami, pędził tu i tam nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Czasem znów weszyl, szukał, lecz widać nic nie znalazł.

Aż któregoś nocy pogodnej i gwiaździstej Bury wrócił na wzgórze pod lasem. Było to widmo raczej, wynędzniałe straszliwe i chwiejące się na nogach. Upadł w końcu na ziemię i z trudem wyciągnął sztywne nogi. Nie ruszył się już więcej. Raz tylko jeden usiłował podnieść łeb nieco w górę i wtedy słabym głosem rzucił gwiazdom skargę rozpaczliwą i zaraz potem zakończył swój żywot nikomu już niepotrzebny.

Nazajutrz, znaleźli go ludzie orzący pole pod lasem na wzgórzu. Tego samego dnia wieczorem stary stróż nocny, który przyuczył Burego od wczesnej młodości do obowiązków stróżowania, nie żałując kija, teraz po śmierci dał mu świadectwo najwyższego uznania.

— Wiedomo, — mówił w kuchni dworskiej — pies je stworzenie boskie, wierny był, to i nie dziwota, że go zmogło... Ha, człowiek człowiekowi nierówny, a pies psu... Cygan zawsze był głupi i głupim ostatnie, a Bury to pies czujący.

CIEKAWOSTKI ZE ŚWIATA

KRÓL CZY ZEGARMISTRZ?

Niedawno temu znaleziono klucz do rozwiązania zagadki, która frapowała historyków od przeszło stu lat. Chodzi mianowicie o niejakiego Karola Wilhelma Naundorffa, z zawodu zegarmistrza, który podawał się za Ludwika XVII, króla Francji i który przez całe swoje życie walczył bezskutecznie o uznanie swoich praw. Naundorff zmarł 10. sierpnia 1845 roku w Holandii i został pochowany w Delft.



Obecnie zajął się tą sprawą badacz André Castelot. Zbadał on resztki włosów wydobytych z grobu Naundorffa i porównał je z włosami Ludwika XVII, syna Ludwika XVI i Marii Antoniny, którzy znaleźli śmierć na szafocie. Badania wykazały, że włosy należą do jednego i tego samego człowieka — według tych danych należałoby uznać, że wygnany z Francji zegarmistrz Karol Wilhelm Naundorff był prawowitym Ludwikiem XVII, królem Francji i Nawary, jak to podaje napis na jego grobowcu w Delft.

WYSPY Z NAWOZU PTASIEGO

Na rafach koralowych mórz południowych, które ledwie wysterczają z morza, składają swoje pozostałości ptaki wodne. Jest ich takie mnóstwo, że wyspa w niedługim czasie wyrasta do dużych rozmiarów. Wyschnięte guano tworzy twardą glebę, która na rynkach jest poszukiwana jako doskonały nawóz.

PRZEŻUWACZE

Marynarze żują prymkę albo gumę. Tubylcy z wysp mórz

południowych zamiast liści tytoniu lub gumy zaprawionej miętą lub korzeniami używają liści betelu zmieszanych z orzechami tejże rośliny i utartej z wapnem. Stwierdzono, że taka „prymka” Polinezyjczyków zawiera substancje odżywcze, jak tłuszcz i cukier, a nadto barwniki i kwasy oraz barwik czerwono-brunatny. Działanie betelu jest odświeżające, podobno gasi pragnienie i zwalcza objawy zmęczenia, nadto czyści usta, konserwuje zęby i nadaje oddechowi miły zapach. Wielu tych zalet trzeba odmówić prymce i gumie. Wspólną cechą wszystkich trzech używek jest to, że stają się nałogiem, jest w powszechnym użyciu i dzięki temu jest stałym źródłem zarobku wielu fabrykantów.

FABRYKANTKA LALEK

Ta oto wdzięcznie uśmiechnięta pani — jest wytwórczynią pięknych, artystycznych lalek, które w ten oryginalny sposób reklamuje. Uśmiech ściąga pięć brzydką, a wyroby młode mamusi ze swoimi pociechami.



ŚLIWY BEZ PESTEK I KAKTUSY BEZ KOLCÓW

W południowej Francji hodowano do niedawna śliwy o owocach bez pestek. Miały jednak one tę wadę, że owoc był drobny. Pewien ogrodnik amerykański skrzyżował ową śliwę z odmianą japońską o dużych owocach i otrzymał dużą śliwę bez pestek.

W innym wypadku krzyżowanie przyniosło korzyść nie tylko dla smakoszów, ale przysporzyło pożywienia zwierzętom w nieurodzajnych krajach pustynnych. Kaktusy rosnące

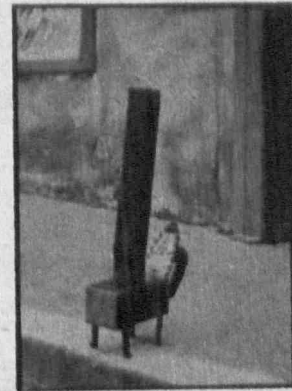
w suchych, pustynnych okolicach, mogłyby być doskonałą paszą dla zwierząt, gdyby nie pewne ale. Kaktusy mięsiste mają kolce, co powoduje, że nie mogą być jadalne, kaktusom zaś niemającym kolców brak miłośności, a więc i wartości odżywczych. Sprytni hodowcy przez krzyżowanie połączyli cechę miłośności kaktusa kolczastego z „bezkolczastością” kaktusa nieużytecznego i stworzyli kaktus jadalny, chętnie spożywany przez zwierzęta.

WITAMINY Z ŻOŁĄDKA ZWIERZĄT

Eskimosi żywią się przeważnie mięsem. Potrzebują dużo mięsa i tłuszczu ze względu na wielkie zużycie paliwa w kRAINIE polarnej. Ziola, korzenie i jagody są tam rzadkością i Eskimosi spożywa je na surowo. Dotkliwy brak pokarmów roślinnych każe im nawet zjadać całą zawartość żołądków ubitych reniferów czy pardw, jest to jeden jedyny sposób zdobycia witamin. Wydaje się nam nieapetyczny taki przysmak, ale dla Eskimosa jest niezbędny, jeżeli nie zjada go „na gorąco”, bezpośrednio po zabiciu zwierzęcia, co jeszcze bardziej podnosi wartość tej dziwnej strawy.

CZY PAŃSKIE SPODNIE MAJĄ KANTY?

Który z krawców ważyłby się takie słowa skierować do swoich klientów? Albo czy miałby na tyle czasu, by stać przed swoim zakładem i zachęcać przechodzących panów do wyprasowania spodni?



Dowcipny krawiec w Sofii znalazł na to sposób. Na środku chodnika postawił staroświeckie żelazko do prasowania i żelazny piecyk z okrągłą rurą, mającą imitować niewyprasowane spodnie. Przechodzień, jeżeli nie jest w ciemie bity, zorientuje się od razu z rekwizytów rozstawionych na chodniku i szyldu krawieckiego, że tu można na poczekaniu odświeżyć swoją garderobę.

kapitan wydał rozkaz spuszczenia kotwicy. I już w kilka chwil później usłyszeliśmy hałaśliwy zgrzyt łańcuchów kotwicznych.

Według zwyczajów panujących na wyspach zwanych S u n d a, na przybycie statku wybiegają z przystani wysp całe chmary łodzi krajowców. Tym razem jednak odgłosowi syreny naszego statku nie towarzyszyła ani jedna sylwetka łodzi. Minęło piętnaście minut wśród oczekiwania. Minęło pół godziny... Wyspa nie dała znaku życia. Zaczęłam przypuszczać już, że wyspa jest niezamieszkała i kłamałam w duchu mojego niefortunnego informatora. Wreszcie sięgnąłem po lornetę i zacząłem dokładnie badać „odkrytą” przez nas ziemię. Ku mojemu zdumieniu zauważyłem w pewnej chwili grupki ludzi, ukrywających się za drzewami. Z ich niespokojnych ruchów wywnioskowałem, że spotkanie z nami nie sprawi im radości.

Dalsze oczekiwanie na ich łodzi byłoby bezprzedmiotowe. Spuściliśmy więc na wodę motorówkę. W łodzi ratunkowej umieściliśmy nasz „ekwipunek” i w towarzystwie dwudziestu kulisów popłynęliśmy ku wyspie. Za naszym zbliżeniem się tubylcy pierzchli w zaroślach i tyleśmy ich tego dnia widzieli. Upłynęło wiele czasu zanim zdołaliśmy ich przekonać, że przybywamy w pokojowych zamiarach. Przekonały ich obficie rozdane podarunki: tytoń, czerwone perkaliki, tanie japońskie noże. Takim skarbom nie oparli się nasi nieufni Sipończycy.

Najpierw zjawili się dzieci, jak wszędzie: najciekawsze i najpłochliwsze. Zbliżyły się do nas dzięki pełnej beczce cukierków. Gdy raz spróbowały smakoluku z tej „cudownej” beczki, nie mogliśmy się już opędić ciekawskim. Niepewnie, z ociąganiem się, z wstydliwym uśmiechem na twarzy, ale ze wzrokiem wlepionym w magiczną beczkę podchodzili do nas. Pierwszy krok był zrobiony.

W ślad za dziećmi zjawili się wkrótce kobiety, co do ciekawości nie ustępujące dzieciom i swoim europejskim siostronom. Z początku parami, trzymając się za ręce, jak zakochane pary u nas w Europie. Na widok naszych czerwonych perkalików nie wytrzymały. Instynkt Ewy przemógł obawę. Początkowo oglądały je tylko i oględnie dotykały. Gdy otrzymały „towar” do rąk, cała „rezerwa” znikła. Zaczęły go sobie wrywać wzajemnie, przymierzając, rumieńce wystąpiły im na twarze, a paplały tak jak na pokazie mód.

Mężczyźni przybyli tego samego popołudnia. Poważnie kroczyli z łukami i strzałami w rękach. Niektórzy mieli noże. Te ostatnie jednak należały do rzadkości na wyspie. To

też gdy pokazaliśmy im siekiery i noże, rozpetala się wprost burza radości.

Przybył wreszcie sam „król” Rimata w towarzystwie najwyższego kapłana. Wtedy już nie było wątpliwości, że zyskaliśmy sobie w nich przyjaciół.

Nastąpiły dni żmudnej pracy: nauczania się języka krajowców. Na szczęście było wśród nich kilku mężczyzn, którzy znali kilkanaście słów po malajsku, ale mimo to minął jeszcze jeden miesiąc zanim mogłem pomyśleć o filmowaniu. Najwyższy kapłan, który był zarazem „lekarzem”, został mianowany przeze mnie „dyrektorem” doradczym. Przez niego zwracałem się do krajowców i wyjaśniałem im moje zamiary. Chciałem mianowicie nakręcić film z krajowcami o ostatniej walce w ich plemieniu. Mój „dyrektor” był wprost nieoceniony w dawaniu mi rad i pierwszorzędny znawcą miejscowych stosunków. A jak był przejęty swoją rolą?

„Aktorów” mężczyzn nie trudno było wyszukać. Ale z kobietami było gorzej. Gdy dostały podarunki, co w rodzaju zaliczki na gażę, uciekły mi i skryły się za słupami swoich domów. Nie mogłem dochodzić moich praw jako poszkodowany przez niedotrzymanie umowy, gdyż w tym kraju panowały całkiem inne przepisy w tej materii. Musiałem szukać dalej. Pewnego dnia jeden z tubylców przyprowadził mi sliczną młodą dziewczynę, z wdziękiem noszącą we włosach jakiś jaskrawy kwiat egzotyczny, i wdzięczną jak ten kwiat. Po długich pertraktacjach ustaliliśmy gażę mojej gwiazdy: dwa bale czerwonego perkalu, duże pudło cukierków, pudełko szklanych peretek i dwie wiązki suszonego tytoniu. Moja wdzięczna „gwiazda” nosiła niemniej wdzięczne imię Ngenakan.

Rozpoczęliśmy pracę. Ngenakan okazała się doskonałą „siłą”. Wkrótce doszła do takiej rutyny, że nieświadomie naśladowała ruchy i mimikę gwiazd europejskich. Przybrała też nawyki i maniery gwiazd filmowych, chociaż nie widziała nigdy filmu, nie mówiąc już o kamerze lub atelier filmowym. Wszystko to jest widoczną cechą niedołądaną talentu aktorskiego, który niewątpliwie posiadała, jako wrodzoną zdolność. Gdy tylko skończył się jej występ, siadała na ustroniu i zrezygnymi ruchami poprawiała sobie włosy lub doprowadzała do porządku swoją „garderobę”. Często biegła do rzeki, aby obmyć z kurzu nogi, lub wyszukiwała świeży kwiat do włosów.

Wkrótce odkryła Ngenakan, że jest niezastąpioną i że jesteśmy całkowicie od niej zależni. Świadomość ważności swojej osoby zaczęła wnet wykorzystywać i pokazywać tochy, właściwe tego rodzaju osobkom na

calej kuli ziemskiej. Toteż wzorem wielkich gwiazd filmowych przyprowadzała mnie często o kłopoty, a całą ekspedycję o nerwowość, i stawiała pod znakiem zapytania naszą pracę. Musiałem wreszcie sięgnąć do drastycznych środków, gdy łagodniejsze okazały się nieskuteczne. Zrobiłem przegląd wszystkich młodych kobiet i w końcu znalazłem jedną, która mniej więcej odpowiadała naszym wymaganiom. Oznajmiłem pewnego dnia Ngenakan, że jest nam już niepotrzebna.

Wolnym krokiem opuściła obrażona piękność nasze grono i skierowała się ku domowi. Sądziłem, że jej więcej nie zobaczymy. Ale tu okazało się, że Ngenakan zakosztowała raz „desek scenicznych”, rozstać się z nimi już nie może. Nie upłynęło bowiem pięciu minut, a nasza piękność zjawiała się z powrotem u nas niosąc ze sobą swoją gażę w postaci wiązanki wysuszonego tytoniu i czerwonego perkalu (cukierki już zjadła, a świecidełek było szkoda). Prosiła nas ze spuszczonej oczyma, abymy to przyjęli od niej w prezencie i pozwolili jej znów uczestniczyć w grze. Tym sposobem odzyskaliśmy naszą gwiazdę. Na otarcie lez zaofiarowaliśmy odprawionej rywalce kilka cukierków.

Niestety w kilka dni później zaczęła się pora deszczowa i praca nasza musiała być przerwana. W zdenerwowaniu czekaliśmy z dnia na dzień na rozchmurzenie się widnokręgu.

Pewnego dnia złożył nam nieoczekiwanie wizytę mój Ngenakan. Skarżył się przed nami na swoją żonę, że odkąd została aktorką nie chce wykonywać swoich zajęć domowych, jak również pracować na polu bananowym. Cały dzień zajęła jest swoją „toaletą”. W towarzystwie kapłana-czarodzieja udałem się do Ngenakan. Znaleźliśmy ją w swoim bambusowym szałasie, zajętą malowaniem paznokci czerwonym sokiem szafarany. Wysłaliśmy całą naszą elokwencję, aby ją przekonać i nakłonić do wykonywania swoich codziennych obowiązków. Nadaremnie. Oświadczyła kategorycznie, że nie może poniznąć się do zajmowania się tak poziomą pracą, ona, której przeznaczeniem jest pracować dla sztuki. Dziwi się, jak my możemy brać stronę jej męża.

Po tygodniu przejrzało wreszcie słońce zza chmur i mogliśmy ukończyć nasz film. Wszyscy artyści otrzymali swoją gażę. Ngenakan wyróżniliśmy dodatkową premią w postaci flaszeczki dobrego perfum, znalezionej przez moją żonę przy przeglądaniu swoich rzeczy. W ten sposób zaspokoiliśmy jej ambicję i osłodziłymi przykrość rozstania. W kilka dni później opuściliśmy uroczą wyspę, odprowadzeni przez tubylców w odświętnie przystrojonych łodziach.

ZE SCEN WARSZAWY

„ROSE-MARIE” W JARZE

Znana operetka Frimmla „Rose-Marie” do czekała się przeróbki na komedię muzyczną i wystawiona została w teatrze „Jar”. Nowy, zresztą bardzo udany scenariusz opracował T. Szeluto, a teksty piosenek napisał młody, utalentowany poeta Z. Ipohorski.

Komedia przygotowana została i wystawiona nader starannie. Zarówno reżyserii jak i wykonawcom żadnych zarzutów postawić nie możemy; głosowo i aktorsko wszyscy wypadli pierwszorzędnie.

Rolę tytułową wykonała pełna czaru i wdzięku słowiczogłosa B. Kostrzewska, a partnerem jej był urodziwy amant, J. Pichelski. Z pozostałych wykonawców na pierwszym miejscu postawić należy St. Danilłowicza za jego dramatyczną rolę „Czarnego Sepa”, J. Orwida i K. Pawłowskiego za to, że wnieśli do sztuki moc szczerzego humoru, X. Grey za temperament, H. Tereńkoczy za dobrze uchwyconą charakterystyczną postać ciotki, T. Pasławską za jej piękną Indiankę i Kempę za pełną umiaru grę (czarny charakter).

Do powodzenia sztuki przyczyniają się w dużej mierze efektowne, pełne kultury baletmistrzowskiej tańce układu E. Paplińskiego w wykonaniu naszych świetnych tancerzy: Kolkikówny, Marynowskiej, Kleszczówny, Wolińskiej i innych.

Wymienić tu jeszcze musimy nazwisko p. Galewskiego, którego dziełem są wspaniałe i barwne dekoracje, pochwalić orkiestrę pod dyr. St. Nawrota oraz wyrazić uznanie St. Danilłowiczowi za bardzo staranną reżyserię.

„Rose-Marie” na pewno nie przędko zjedzie z afisza.



Xenia Grey, K. Pawłowski, J. Orwid i St. Danilłowicz w jednej ze scen „Rose-Marie”.

Fot. Braun

Atelier Artystycznej grafiki »Zofia« wykonuje projekty reklam, plakatów, blankietów firmowych, wnetrz, wystaw, itp. — WARSZAWA, ul. ZŁOTA 38 m. 18. — Telefon 688-23.	Dr. ST. ZIELIŃSKI wener. i skór. Warszawa, Warszawska 81a m. 6 telefon 8-19-31 godz. 9-12 i 4-7	DR ST. KRAJEWSKI wener. i skór. Warszawa, Al. Jerozolimskie 23/18 godz. 4-7 tel. 907-33	Dr. ST. ŚWIĄTECKI Wener. skór. Warszawa, Warszawska 95-7 godz. 10-1 i 4-7 tel. 935-38	KURSY TECHNICZNE inż. Gajewskiego, Warszawa, Przemyska 11a Kurs techniczny, kreślarski, słuchowo lub korespondencyjnie. Kurs techniczny korespondencyjny. Wydziały: maszynowy, budowlany, drogowy.	Dr. M. BIERNACKA choroby włosów, skóry, kosmetyka lekarska. Warszawa, Szopna 2, g. 1-6	Dr. Zofia Kolski Chor. kob. akusz. WARSZAWA, Koszykowa 19-8 tel. 961-48 godz. 5-7	Akuszka M. WÓJCIK Warszawa Złota 8 m 6 tel. 64-824
OBRAZY, DYWANY, ANTYKI kupuje sprzedaje „PHRYNE” Kraków, Sławkowska 6	KONCESJONOWANY CHRZEŚCIJAŃSKI SKŁEP KOMISOWY Kraków, ul. św. Tomasza 26 tel. 162-01	Dr. med. J. EHRENKREUTZ skór. i wener. choroby Warszawa, Nowy-Świat 37 m. 11	Dr. Prochacki Wener. skór. Warszawa Krak. Przedm. 40 godz. 4-7	NAJMILSZĄ PAMIĄTKĄ Drogiach osób zmarłych i dalekich jest portret artystycznie wykonany z każdego zdjęcia. Nadesłaj fotografię, opis zmian, 10 zł za datku. Otrzymasz portret próbny za zaliczeniem pocztowym 30 zł. — PRACOWNIA ARTYSTYCZNYCH PORTRETÓW Warszawa, ul. Nowogrodzka 19, m. 24			
100000 Spółdzielnia w Generalnym Gubernatorstwie stoi w służbie zabezpieczenia wyżywienia ludności	W domu obok codziennych zajęć odpowiadając na pytania można przerobić Szkołę Handlową i otrzymać świadectwo ukończenia o pełnych prawach. Zapisy przyjmuje i prospekt wysyła: Sekretariat Korespondencyjnej Szkoły Handlowej przy Publ. Kup. Zawodowej Szkole w Reichshof, Hoffmanowej 3. Kupujemy go t ó w k ą i płacimy najwyższe ceny za rzeczy tylko w pierwszorzędnym stanie, jak ubrania, kostiumy, płaszcze letnie męskie i damskie, sukienki, kilimy, dywany, bieliznę pościelową, stołową i osobistą, maszyny do pisania, liczenia, szycia oraz inne, jakoteż sprzedajemy po cenach naprawdę okazjnych. Sklep Używanych Rzeczy, Kraków, Krakowska 36.	RANG WSUWKI do włosów Tanio sprzedajemy wszelką garderobę, futra, lisy srebrne, niebieskie pelerynki, blamy, pościel, bieliznę, dywany, kilimy, chodniki, lino-leum, obrazy, walizki, teczki, maszyny „Singer”, maszyny pisarskie, palefony walizkowe, elektryczne, płyty, nakrycia stołowe, przedmioty ze srebra, porcelany, porcelany, przedmioty domowego użytku. Duży wybór okolicznościowych praktycznych upominków „Centrokomis” Kraków, Grodzka 9	KOŁDRI POŚCIEL PRZERÓBK Warszawa, Warszawska 119 DAŁKOWSKI	PORTRET KOŁOROWY W ZŁOTYCH RAMACH z każdej fotografii. Nadesłaj fotografię, 10 zł, otrzymasz portret próbny za pobraniem pocztowym 30 zł. — LECH, Warszawa, ul. Wilcza 71. ROBOTY-ARTYSTYCZNO-KAMIENIARSKIE Kościelne — Budowlane — Cmentarne Wykonuje: fachowo po cenach przystępnych H. GRYZMOŁOWICZ Kraków, ul. Br. Dudzińskich 9			

NOVASCABIN
bezbacowny aromatyczny płyn
do skróconego i wygodnego
leczenia

ŚWIEŻE

Do nabycia
w aptekach i drogeriach
Nr. rej. 2058 • Cena 1 flak. zł 9-
DR. A. WANDER S.A. KRAKÓW

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Roszcza. Roszcza jest wprowadzanie jednym posunięciem, lecz wykonanym przez dwie figury równocześnie tj. króla i wieży. Jest to jedyny wyjątek od zasady, że ruch z ukończeniem poruszenia jednej figury (bierki, pionu) jest wykonanym. Jeden raz podczas partii jest każdemu z partnerów dozwolonym wykonanie posunięcia, które składa się z równoczesnego poruszenia dwóch figur, mianowicie króla i wieży. Ten ruch nazywa się roszadą, wykonać taki ruch nazywa się roszadzić.

Roszcza może być wykonana przez króla i wieżę, jeśli obie te figury znajdują się na swych pierwotnych miejscach i jeśli nie były jeszcze ze wych miejsc ruszane, a pola między tymi figurami są wolne (patrz diagram nr 6).

Roszcza się w ten sposób, że króla przesuwa się o 2 pola ku wieży (w kierunku poziomym), a wieżę stawia się zaraz za króla (w jego nowej pozycji).

Jeśli białe (czarne) roszadzą krótko (0-0) tj. wieżę królewską wówczas stawia się króla na pole g1 (g8) wieżę zaś na pole f1 (f8) (patrz diagram nr 7).

Jeśli białe (czarne) roszadzą długo, tj. wieżę hetmańską, wówczas stawia się króla na c1 (c8), wieżę zaś na pole d1 (d8) (patrz diagram nr 8).

W pozycji diagramu nr 6 mogą zarówno białe, jak i czarne roszadzić albo krótko, tj. wieżę królewską (albo długą, tj. wieżę hetmańską). Jeśli obie strony roszadzą w strony przeciwne, białe wieżę królewską, czarne wieżę hetmańską, wtedy wygląda to następująco (patrz diagram nr 9).

Roszcza jest dopuszczalna tylko pod ściśle określonymi warunkami. Roszcza nie może być wykonana:

1) Jeśli pole między królem a wieżą (na linii i wzgl. 8) jest obsadzone.

2) Jeśli król lub wieża odnośnej strony roszadzą (lub oczywiście tym więcej obie te figury) były już przedtem raz ruszane.

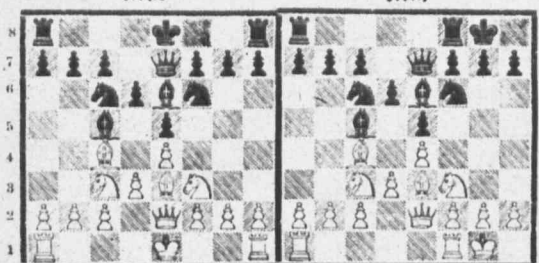
3) Jeśli król (mający roszadzić) jest pod szachem. Nie można więc na szach przeciwnika odpowiedzieć roszadą.

4) Jeśli król przy poruszeniu przez pole linii poziomej (i wzgl. 8) musiałby przejść przez takie pole, które jest atakowane przez bierkę przeciwnika (tj., że na którymś z tych dwóch pól mógłby być zabity).

5) Roszcza nie może być oczywiście wykonana, jeśli król skutkiem tego był szachowanym. W końcu zaznacza się wyraźnie, że roszadza jest dopuszczalna w tym wypadku, gdy tylko wieża jest atakowana lub jeśli musi przejść przez pole, które jest atakowane przez bierkę przeciwnika.

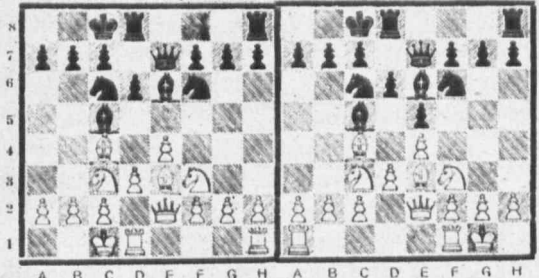
NR.6

NR.7



NR.8

NR.9



CZĘŚĆ OGÓLNA

PROBLEM Nr 1

S. Limbach (Kölnische Ztg 1942)

Czarne: Kd1, Wg1, We1, Ge7, Gf1, Sh7, pion: c3, d2, d7, e2, e4, e6 g2, h3 (14).
Białe: Kbl, Gh5, Se5, pion: e3 (4).
Mat w 3 posunięciach.

ROZWIĄZANIE KOŃCÓWKI Nr 1 (Kubbel):

1. K-d7-e4 2. K-e6 K-g7 (e3 3. K-f6 i 4. g7 mat).
3. K-f5 e3 4. G-c4 h4 5. G-d3 K-h6 6. K-f6 e2.
7. g7 (7. G-xe2??) pat! e1 h8. g8 Sf i 9. G-g6 mat.

PARTIA Nr 2

Białe: W. grana w koresp. turn. Wiener Schachztg 1913. Hiszpańska.

1. e2-e4 e7-e5
2. Sg1-f3 Sb8-c6
3. Gf1-b5 a7-a6
4. Gb5-a4 Sg8-f6
5. 0-0! Sf6-e4!
6. d2-d4 b7-b5
7. Ga4-b3 d7-d5
8. d4xe5 Gc8-e6
9. c2-c3 Gf8-e7
10. Wf1-e1! Se4-c5
11. Gb3-c2 Gc6-g4
12. Sbl-d2! Sc5-e4!
13. Sd2-f1 Ge7-g5
14. h2-h3! Gg5xc1
15. Wa1xc1 Gg4-h5
16. Sf1-g3 Gh5-g6
17. Sg3-f5 Gg6xf5
18. Gc2xf5 0-0
19. Gf5xe6! f7xe6
20. Sf2-d4! d7-d8
21. Hd1-g4 Sc6-d8
22. b2-b4 Wa8-c8
23. Sd4-b3 Sd8-b7
24. Hg4-d4 c7-c5!
25. b4xc5 Hd7-e7
26. We1-e3 Sb7-c5
27. Hd4-b4 He7-c7
28. Sb3-d4 Wf8-f4
29. f2-f3! Sc5-a4
30. We1-d1 He7-c5!
31. g2-g3 Wf4-f8
32. Hb4xc5 Sa4xc5
33. f3-f4 g7-g6
34. Wd1-f1 Wf8-e8
35. g3-g4 Sc5-e4
36. Wf1-f3 Wc8-c4
37. Sd4-c2 Se4-d2
38. Wf3-f2 Sd2-e4
39. Wf2-f3 We8-c8
40. Sc2-d4 b5-b4!
41. c3-c4! b4xc3
42. Wf3-f1 Wc8-e8
43. f4-f5 Gg6xf5
44. g4xf5 Kg8-f7
45. Wf1-c1 We8xe6!

UWAGI:

1) Ten dawny sposób traktowania należy uważać za najlepszy. 5. Gxc6 dxc6 nie daje białym żadnych specjalnych korzyści: 6. 0-0 Sxe4 lub 6. Sxe5 H-d4; 6. d3 G-d6 lub S-c3 G-g4 lub ewentualnie 6... c5!

2) Zdaniem Grünfelda sposób gry zamknięty: 5... G-e7 6. W-e1 b5 7. G-b3 d6 zasługuje na pierwszeństwo. W ostatnich latach wielu mistrzów (m. l. Aljechin) skłania się do 2... Sxe4.

3) Obecnie uważa się za najlepsze 10. Sb-d2 oraz 10. G-e3. W razie 10... 0-0 11. S-d4 Sxe5 mogłoby powstać wariant wrocławski, swego czasu dokładnie badany i analizowany.

4) Według inż. Gerbeca z Wiednia najlepiej tu grać 12... b4 (patrz kącik szachowy nr 2, część ogólna).

5) 12... d4 13. S-b3 dxc3 14. Sxc5! Gxc5 15. G-e4 H-d7 16. H-b3 Gxc3 17. gxc3 a po 12... 0-0 grają białe według analizy Malkina („Die Schachwelt“ 1912): 13. S-b3 S-e4 14. H-d3 g5 15. G-h6 W-e8 16. Sf-d4 Scxd4 17. Sxd4 Sdxd4 18. Hxd4 G-e6 19. H-f4 z silnym atakiem białych.

6) W partii koresp. Zuk Skarszewski-Grünfeld, 1913 grono 14. S-g3 Gxc1 15. Wxc1 S-g5 16. H-d3 Gxc3 17. gxc3 i czarne grają teraz najlepiej 17... S-h3+ 18. K-f1 S-f4 19. H-f5 H-h4 ewent. 18... g5 19. H-e3 H-h4 itd.

7) Lub 19. S-d4 H-d7 20. H-g4 Sc-d8 21. b4 W-c8 22. W-c3 c5 23. bxc5 Wxc5 24. W-g3 g5 itd.

8) Czarne utrzymują się przy przewadze. Jeśli 30... Sxc3 to 31. W-d2 (H-c4 32. Hxc4 Wxc4 33. Sxe6) z groźbą H-d6.

9) Końcówka jest wygrana; nastąpiło jeszcze: 46. fxc6 Kxc6 47. K-g3 Kxc6 48. K-f3 W-c6 49. K-e2 d4 50. W-f3 K-d5 51. K-d3 S-c3+ 52. K-c2 K-c4 53. W-f4 W-e5 54. W-g4 W-e2+ 55. K-b1 S-d3. Białe poddały się.



Szef biura: — Jestem człowiekiem molomowym. Jeżeli skinę palcem będzie to oznaczać, że pan ma do mnie przyjść!

Poszukujący pracy: — Doskonale! Ja również jestem molomowym. I jeżeli ja kiwnę przecząco głową, to będzie znaczyło, że nie przyjdę.

Das Illustrierte Blatt

— Franku, jest mi strasznie przykro, ale nie mogę cię poślubić, gdyż pokochałam gorąco innego. Masz tu pierścionek...

— Jak się nazywa ten drugi, kim on jest i gdzie mieszka? Chcę to zaraz wiedzieć.

— Na litość boską! Franeczku, poczekaj kilka dni na pewno wtedy inaczej na tę sprawę będziesz patrzył.

— Dlaczego? Przecież ja chcę tylko pierścionek zaręczynowy, twemu nowemu adoratorowi odsprzedać.

— Co, pan myśli poważnie się ożenić, taki don Juan jak pan.

— Cb robić, już mi się kobiety sprzykrzyły.



Pomyśl, kochanie, jakby to było pięknie, gdyby jutro w naszym rosale takie gwiazdki pływały?

Das Illustrierte Blatt

— Gdy umrę, to zasadź, żono ten krzak róży na mym grobie.

— Tak bardzo go lubisz, kochany mężusiu?

— Nie tak znów bardzo, ale wiem jak ciężko ci przyjdzie się z nim rozstać.

— Czy zna pan dowcip o rozżalonym profesorsze z prowincji, który kupując w sklepie kołnierzyk, podał numer bucików; zaś w restauracji bezskutecznie usiłował pokroić na talerzu swój własny portfel, a z kieszeni wyciągnął kotlet i wołał na kelnera, aby zapłacić?

— Nie, niech mi pan go opowie.

— Nie wiem doprawdy, czy zostać przy malarstwie, czy wziąć się do poezji?

— Radzę ci poezję!

— Czy znasz już moje wiersze?

— Nie, ale znam autorów!

— Komedia pańska — powiada dyrektor do autora — jest zbyt krótka. Nie potrwa nawet pół godziny, czemuż więc twierdziłeś pan, że wypełni cały wieczór?

— Wpłynęłam z góry: długotrwałe wybuchy śmiechu, oklaski, bisowania i wręczanie kwiatów.

— Kiedy mi pan zapłaci dług? — pytan pan Wojciech swego znajomego, który mu był winien większą sumę pieniędzy.

— Zupełnie mi pan tym pytaniem przypomina mego najmłodszego synka.

— Cóż ten synek ma z pańskim długiem do czynienia?

— Ach, on stawia mi zawsze pytania, na które nie mogę mu odpowiedzieć.

— Pan wie zapewne, że pieniądze mają swoją wymowę.

— Oh, jeszcze jak wiem. Poślubiłam przecież kobietę z pieniędzmi!

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Haniu — pyta się nauczyciel uczennicy — co to jest esteta?

Uczennica milczy.

— A to może mi powiesz, co to jest estetyka?

— Estetyka, jest to nauka o pięknie.

— No to może teraz potrafiś mi już odpowiedzieć na pytanie, co to jest esteta?

— Esteta, to jest przystojny nauczyciel.



W SĄDZIE

— Proszę mi powiedzieć, gdzie pani była w nocy z 13-go na 14-go?

— W łóżku, panie sędzio!

— Czy może mi pani podać na to świadka?

Die Grüne Post

— Być może, ale nie musi pan przy tym tak głośno chrapać, — odpowiada zagadnięty.

— Jużbyś chciała mieć nowego lisa, Lili? Przecież nie ma jeszcze czterech lat, jak ci sprawilem futro!

— Zapominasz, mój drogi, że lis go też już nosił jakiś czas na sobie.

— Nigdy do tego nie doprowadzisz swoją tresurą, żeby pies był ci ślepo posłuszny, moja droga!

— Poczekaj trochę — odpowiedziała żona, — ja wszystko uzyskuję cierpliwością i wytrwałością. Również i ciebie podporządkować sobie nie przyszło mi lekko z początku.

— Wiem dobrze, Haniu, że nie jestem pięknym, ani eleganckim młodzieńcem.

— Oh, to nic nie szkodzi, mój kochany, jesteś przecież i tak cały dzień w zajęciu, a w nocy tego nie widać.

Na prawo:

— Tak, to twój brat leży w szpitalu? A co mu brakuje?

— Ach, nic takiego, założyliśmy się tylko, który z nas dalej wychyli się z okna i on wygrał zakład...

Die Grüne Post



KĄCIK KARYKATURZYSTY



RADOSNA WIADOMOŚĆ

— Hurrera!! Wiewat! Brauu!! Córka moja zaręczyła się wczoraj!

— A kto jest tym uszczęśliwionym?

— Ja!

Rys. J. Warczewicz — Kraków

**Na lewo: ARTYSTA PRZY SORTOWANIU
KOLOROWEGO PIASKU**

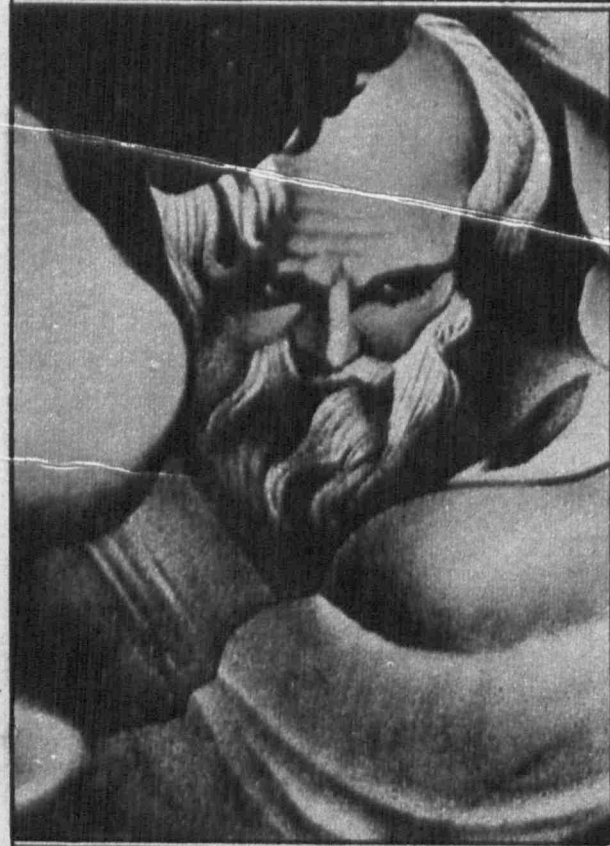
Istnieje około 40 naturalnych różnych kolorów
piasku, które w połączeniu ze sobą
stwarzają przeogromne bogactwo
dekoracyjnych kolorów i duże
możliwości wydobycia pięk-
nych efektów w tej technice.

**Na prawo: ARTYSTA
PRZY PRACY**

Przy pomocy spe-
cjalnego kleju, zo-
staje piasek na
drzewie utrwala-
ny; tak, że
obraz zostaje
formalnie jak
gdyby wchłonięty w drzewo.

**Poniżej:
OBRAZY
Z PIASKU**

Doskonała repro-
dukcja fresku Qui-
do Reni pt.: „Auro-
ra”, wykonana techni-
ką piaskową. Czystość
rysunku, przejrzystość ob-
razu i dekoracyjna wyrazi-
stość draperii, oto efekty
malarskie, jakie
daje technika
kolorowego piasku.



Fot. Sendler

W chaosie poglądów i kierunków, jaki cechuje nowoczesne ma-
larstwo, zjawisko „malowania piaskiem” należy uważać jako
zwykły eksperyment techniczny, który ma już swego poprzednika
w malarstwie japońskim, przy tak zwanym malowaniu w „cień”.
Znamy wszyscy japońskie drzeworyty kolorowe, w których kolor
nieba przechodzi od najgłębszego szafiru w bładniebieski, wzgórza
zielone w ten sam sposób urozmaicają się takim samym „cieniowa-
niem” od jasnej do ciemnej zieleni, góry zasnuwają się tonowanymi
w ten sam sposób mgłami, włosenne sady różowym kwieciem.

To cieniowanie, czy tonowanie kolorów nie mające nic wspól-
nego z właściwym pojęciem światła i cienia, ani z obserwacją gry
kolorów, jaką nastrocza natura, jest ulubionym środkiem dzisiej-
szego malarstwa w ogólności, a w dekoracyjnych malowidłach
techniki piaskowej w szczególności.

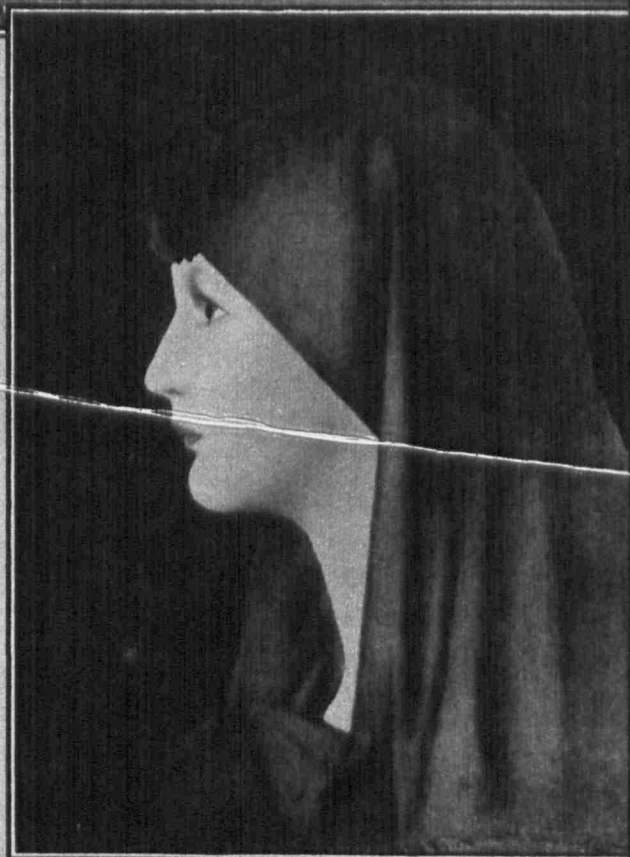
Niewątpliwie, że techniczna wirtuozeria w malowaniu piaskiem
może dać prostymi środkami piękne efekty malarskie: przejrzystość
obrazu, uzyskaną doskonałą grą światłocieni; głębię kontra-
stu, a tym samym spotęgowaną dekoracyjną wartość motywów,
ujmującą w kolorze swą świeżością i lekkością, dzięki niezmiennie
bogatej swoistej skali barw.

Sposób tworzenia obrazu jest naogół prosty. Na desce lub tek-
sturze rysuje się szkicowo obraz i powleka odpowiednim klejem.
I kiedy klej jest świeży, wtedy posypuje się ręką odpowiednie
miejsca obrazu, odpowiednim kolorem piasku; przy czym sypanie
uskutecznia się bardzo ostrożnie, gdyż raz rzuconego piasku nie jest
się w stanie usunąć. Po pewnym czasie klej schnie i twardnieje,
a obraz zostaje jakby wchłonięty w drzewo.

Olbrzymie malowidła ściennie, obsypane iskrzącymi się kry-
ształkami piasku, mieniące się tysiącem barw, w świetle koloro-
wych lamp, pociągają iście kalejdoskopowym bogactwem koloro-
w. Ze zaś kolory są piękne, więc oko na nie z przyjemnością
patrzy.

**Na prawo:
Portret kobiety wykonany
z piasku.**

Na lewo:
Wycinek z reprodukcji
obrazu Rubensa pt.: „Zdję-
cie z krzyża — wykonanej
barwnym piaskiem.



PORTRET Z PIASKU